

Liz Fielding

Brzydkie kaczątko

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Środa, dwudziesty drugi marca. Przymiarka. Stoję cała w falbankach, usiłując wczuć się w rolę druhny. Koszmar staje się faktem. Kurs asertywności okazał się kompletną stratą czasu. Jakżeż mogłam oprzeć się gorącej prośbie Ginny? Ale najpierw lunch z Robertem, którego rzuciła właśnie urocza i bardzo inteligentna Janinę... Jak zwykle byłam pod ręką, gdy chciał się komuś wyzalić. Jak zwykle też wylewałam krokodyle łzy... Swoją drogą ciekawe, jak Robert czuje się w charakterze porzuconego.

- Żółty aksamit? A cóż jest złego w żółtym aksamicie?

- Prawdopodobnie nic. - Z pewnością był odpowiedni na wszystkie okazje. - Oczywiście pod warunkiem, że rola druhny znajdowałaby się wysoko na mojej liście marzeń. - A znajdowała się na sto dwudziestym miejscu, dokładnie po wyrwaniu zęba bez znieczulenia. - I o ile potrafiłabym zaakceptować pomysł ubrania się w suknię, która podkreśla wszystkie niedoskonałości mojej figury.

Zerknęła w dół na swoją klatkę piersiową, której, jak sądziła, przydałoby się dodatkowych piętnaście centymetrów w obwodzie. Wzrok Roberta powędrował za jej spojrzeniem.

- I zapewne wtedy - dodała szybko, by odwrócić jego uwagę -

gdy cieszyłaby mnie perspektywa dreptania za dziewczyną, która będzie najpiękniejszą panną młodą tego stulecia, w dodatku w otoczeniu jej równie pięknych, kruczowłosych kuzynek, którym w żółtym kolorze jest bardzo do twarzy.

Czyżby była zazdrosna i małostkowa? Och, tak!

- Być może tobie też będzie dobrze w tym kolorze - powiedział Robert bez specjalnego przekonania.

Nie musiał prawić jej komplementów. Byle tylko nie wspominał o Janinę... Już wystarczająco wiele razy słyszała, jaką cudowną istotą była Janinę. No cóż, aż dziw, że Robert nie ożenił się z tym chodzącym ideałem.

- Będę wyglądać jak kaczką - stwierdziła, choć zdawała sobie sprawę, że w gruncie rzeczy i tak nikt tego nie zauważy, ponieważ nikt nie będzie na nią patrzeć.

- Być może. - Robert, zamiast choćby zdawkowo zaprzeczyć, uśmiechnął się szeroko.

No tak, ostatecznie po to zaprosił ją na lunch, by poprawić sobie humor. Drużbie jest o wiele łatwiej, pomyślała z irytacją. Jedyna decyzja, jaką będzie musiał podjąć Robert, to wybór między szarym bądź czarnym zakietem. A może nawet i to nie, albowiem matka Ginny reżyserowała ślub córki z wprawą hollywoodzkiego reżysera. Kolory a także fasony wszystkich strojów były przemyślane do

ostatniego guzika.

Robertowi przyjdzie jedynie dopilnować, by jej brat punktualnie stawił się na swój ślub. Potem jeszcze w odpowiednim momencie poda młodym obrączki oraz wygłosi krótką, lecz zapewne błyskotliwą mowę podczas przyjęcia weselnego. Daisy widziała go już w tej roli przedtem. Robert był często proszony na świadka, szczęśliwie unikając roli pana młodego.

Na pewno zorganizuje Michaelowi huczny wieczór kawalerski, a nazajutrz na czas dostarczy go w nienagannym stanie do kościoła. Sam natomiast zadziwi gości swą dystynkcją i kurtuazją, a śniadanie zje prawdopodobnie w towarzystwie najładniejszej z druhen. Nie było bowiem kobiety, która pozostałaby obojętna na urok Roberta. Miał powodzenie i potrafił to wykorzystać.

Natomiast druheny... Daisy westchnęła. Cóż, strój druhen był wytworem chorej fantazji matki panny młodej. Falbanki, wstążeczki, aksamit... Okropne! Dlaczego jeszcze na domiar złego matka Ginny musiała wybrać właśnie żółty aksamit?! Czy nie wystarczyło przystrojenie całego kościoła kwiatami w tym kolorze?

- Nie musisz się ze mną tak ochoczo zgadzać - skarciła go. - Robiłam, co mogłam, aby nie być druheną. Zmusiłam Ginny do przysięgi, że niezależnie od tego, co wymyśli jej matka, nie zmusi mnie, bym szła za nią wzdłuż nawy...

- Najlepiej opracowane plany...

- Najlepiej opracowane plany często biorą w łeb. Nie mogę wprost uwierzyć, że matka Ginny pozwoliła, aby tak ważna dla przebiegu ceremonii osoba wyjechała na narty tuż przed terminem ślubu!

- Nie sądzę, by ktoś jej o tym powiedział. W przeciwnym razie stanęłaby na głowie, by do tego nie dopuścić. - Robert uśmiechnął się lekko. - Biedna Daisy. - Pochylił się ku niej i delikatnie potargał jej niesforne loki, wymykające się spod elastycznej opaski. - Nie masz racji, twierdząc, że będziesz wyglądać jak kaczką. Kaczki kołyszą się na boki, a ty chodzisz prosto.

Daisy musiała bardzo się starać, by powstrzymać rumieniec zakłopotania, ale nie do końca jej się to udało.

- Naprawdę? - spytała słabym głosem.

Uśmiechnął się szeroko. Och, zrobiłaby prawie wszystko, by Robert częściej uśmiechał się do niej w ten sposób!

- Z pewnością miałaś na myśli kaczątko.

- Masz rację. Kaczątko są puszyste, żółte i...

- Puszyste, żółte i...

- Nie mów mi tylko, że ładne i rozczulające!

- Nigdy bym na to nie wpadł - powiedział poważnie, ale jego ciepłe, jasnobrązowe oczy śmiały się do niej serdecznie. - Masz przecież o wiele za duży nos.

- Dzięki.

- A twoje usta...

- W porządku, rozumiem. Powinnam rozbić lustro na dwadzieścia kawałków.

- Na trzydzieści - poprawił ją uprzejmie. - Szczerze mówiąc, nie rozumiem, czym tak się przejmujesz. Naprawdę uważam, że będziesz wyglądać uroczo.

O Boże!

- Nie jestem stworzona do aksamitów i tiulów - powiedziała zdecydowanie. Perfekcyjnie skrojone kostiumy, proste sukienki oraz jedwabne koszule były bardziej w jej stylu, ukrywały bowiem zbyt szerokie ramiona i brak krągłości. - A już na pewno nie chcę zakładać na nogi pantofelków Mary Janes ani wplatać we włosy pączków róży. Będę wyglądać jak sześciolatka dziewczynka!

- Pantofelki Mary Janes?

- Takie lakierki zapinane na pasek. Nienawidziłam ich już jako mała dziewczynka.

- Och, rozumiem.

Czekała, aż powie coś więcej.

- Sześć lat to piękny wiek.

- Robercie! - Żarty, żartami, ale miała przecież resztki dumy.

Złapał ją za rękę i przytrzymał, a Daisy pomyślała, że za jedno

jego dotknięcie pozwoliłaby się obrażać nawet cały dzień.

- Wielkie nieba, ależ ty drzysz! Nigdy przedtem nie widziałem cię w takim stanie. Może po prostu powiedz Ginny, że nie możesz tego dla niej zrobić. Chyba wystarczą jej do szczęścia trzy małe dziewczynki, nieprawdaż?

Otóż nie. Ten ślub miał być doskonały pod każdym względem, a poza tym Daisy nie mogła przecież sprawić zawodu swojej przyszłej szwagierce.

Jednak Robert i tak by jej nie zrozumiał. Przez całe życie wszyscy dokładali starań, aby spełnić każde jego życzenie. Wiedziała, że większość panów o jego aparycji i wdzięku już dawno stałoby się próżnymi i egoistycznymi potworami. Ale on był nie tylko najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała, ale również miał nieskazitelny charakter. Zapewne legion porzuconych przez niego dziewcząt nawet na łożu śmierci oświadczyłyby, że Robert jest najcudowniejszym mężczyzną pod słońcem.

- Oczywiście, moja matka jest zachwycona - powiedziała z niechęcią.

Robert ze współczuciem ucisnął jej rękę.

- Kochanie, jeśli twoja matka chce, byś została druhną, powinnaś jej się podporządkować.

Jeśli chce? Dobre sobie! Jej matka wiązała z tym faktem bardzo

konkretne nadzieje. Jedną córkę już wydała za mąż i teraz mogła zajmować się wnukami, syn wkrótce miał podążyć śladem siostry, tak więc Margaret Galbraith całą uwagę i energię mogła teraz skupić na swej trudnej, najmłodszej latorośli, która w wieku dwudziestu czterech lat nadal nie miała odpowiedniego konkurenta do ręki.

Pierwszy etap planu zakładał nakłonienie córki do zmiany wizerunku. Pani Galbraith chciała, by Daisy wyglądała kobieco i ładnie. Od tygodni próbowała namówić ją do poddania się szaleństwu zakupów. Gdy jedna z kruczoczarnych drухen złamała nogę i Daisy musiała ją zastąpić, pani Galbraith była w siódmym niebie. Postanowiła jak najlepiej wykorzystać okazję, jaką stwarzał huczny ślub, na którym będzie zapewne wielu interesujących mężczyzn. Daisy nie miała żadnej szansy ucieczki.

Etap drugi i trzeci planu - wybór odpowiedniego makijażu oraz wizyta u fryzjera, który miał okiełznać niesforne blond włosy. Daisy już teraz szczerze żałowała biedaka, któremu przyjdzie zmierzyć się z tym trudnym do wykonania zadaniem.

Popatrzyła na dłoń Roberta - piękną, o długich, smukłych palcach. Poszarpana blizna, widoczna na kostkach, była pozostałością po walce z rozwścieczonym psem, który zaatakował Daisy, gdy miała sześć lat.

Przez chwilę pozwoliła sobie rozkoszować się dotykiem Rober-

ta. Ale tylko przez chwilę. Potem cofnęła rękę, podniosła kieliszek i energicznym ruchem zamieszała pozostałą w nim resztkę wina.

- Mama chce mnie wyleczyć z nieśmiałości – przyznała. - Uważa, że publiczny występ dobrze mi zrobi.

Nadal się uśmiechał, lecz tym razem ze szczerym współczuciem.

- Naprawdę żal mi ciebie, Daisy. Obawiam się jednak, że będziesz musiała znieść wszystko z uśmiechem na twarzy.

- Ty byś zniósł?

- Wszystko bym zniósł dla świętego spokoju - zapewnił ją. - Mogę nawet włożyć żółtą kamizelkę, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej - zaproponował nieoczekiwanie. - No wiesz, na znak solidarności...

- Żółtą aksamitną kamizelkę? - spytała.

- Czemu nie?

Łatwo mu było mówić. Obydwoje dobrze wiedzieli, że matka Ginny storpeduje każdy przejaw indywidualizmu. Wszystko musiało przebiegać zgodnie z od dawna ustalonym planem.

- Możesz ufarbować włosy na czarno i wtedy nie będziesz się różnić od reszty druzhen - zaproponował. - Chociaż nie wiem, czy czarne kaczątko to najlepszy pomysł.

- Chyba żartujesz! - Czy on kiedykolwiek traktował ją serio?

Co prawda miał prawo być dzisiaj trochę zdenerwowany, ponieważ Janinę, widząc jego awersję do instytucji małżeństwa, postanowiła z nim zerwać, zanim on sam podjął taką decyzję. Ale na pewno otoczy go zaraz tłum wielbicielek, tylko czekających, by zająć miejsce u jego boku.

Daisy wzniosła milczący toast za ostatnią dziewczynę Roberta.

- Możesz jeszcze założyć perukę - zasugerował po chwili.

Bez wahania powiedziała mu, żeby się wypchał.

- Nie strosz piórek, kaczątko. - Roześmiał się głośno.

- Zresztą, chyba trochę przesadzasz. W końcu, kto ci się będzie przyglądał? Wszyscy będą patrzyli na pannę młodą, czyż nie?

Takie żarty mogły się wydawać dziwne w ustach mężczyzny, który miał opinię uwodziciela, potrafiącego podbić serce najbardziej odpornej dziewczyny. Daisy uznała je za mało subtelne. Właściwie cóż w tym dziwnego, skoro Robert zawsze traktował ją jak młodszą siostrę. A czy którykolwiek mężczyzna pamiętał, by być uprzejmym dla siostry? Jej rodzony brat na pewno nie, dlatego więc jego najlepszy przyjaciel miałby być inny? Zwłaszcza że dołożyła wszelkich starań, aby utrzymać ich znajomość na koleżeńskim stopie. Żadnego flirtu. Żadnych obcisłych kostiumów czy kusych bluzeczek, gdy szła z nim na lunch.

Mogła go sobie kochać w głębi duszy do upojenia, ale była to tajemnica, którą powierzyła jedynie swemu pamiętnikowi. Robert Furneval nie należał do mężczyzn, którzy marzą o założeniu rodziny... Ale cóż, gdy kocha się kogoś naprawdę, nic nie można na to poradzić.

Wypiła wino do dna i wstała. Musiała przywołać Roberta do porządku.

- Następnym razem, gdy będziesz szukał kogoś chętnego do wysłuchiwania twoich gorzkich żali - powiedziała - zadzwoń do telefonu zaufania.

- Och, nie złość się, Daisy - odparł, podnosząc z podłogi małą, wyszywaną koralikami torebkę. - Jesteś jedyną kobietą, której ufam bez zastrzeżeń. No i nie brak ci zdrowego rozsądku.

Być może tym stwierdzeniem by ją udobruchał, ale popsuł cały efekt, dodając:

- Oczywiście, cenię też twoje zamiłowanie do myszkowania w garderobie babci w poszukiwaniu ubrań i różnych dodatków.

Nawet nie próbowała się bronić. Siostra kupiła jej tę małą torebkę na urodziny, prawdopodobnie namówiona przez matkę, pragnącą uczynić z Daisy kobietę w każdym calu.

- I nie wyzywaj się na mnie z powodu głupiej sukni z żółtego aksamitu - dodał. - Ciesz się, że nie musisz pokazywać nóg.

- Co ty wiesz o moich nogach? - obruszyła się.

- Nic. Pamiętam tylko, że masz kościste, sterczące kolana. Pewnie dlatego zawsze starannie je ukrywasz. Spodnie, dzinsy, długie spódnice... - Uśmiechnął się do niej tak rozbrajająco, że jej serce stopniało jak wosk. - Nie chciałabyś przecież, bym cię okłamywał i twierdził, że będziesz doskonale wyglądać w żółtym, nieprawdaż?

To byłoby zupełnie miłe, pomyślała. Ale oni nigdy się nie okłamywali.

- Jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele nie muszą niczego udawać - dokończył.

Tak, byli przyjaciółmi. Uchwyciła się tej myśli. Robert co prawda nie obsypywał jej różami, nie zabierał do drogich restauracji i nie faszerował wędzonym łososiem ani truflami, ale również nie zrywał z nią po miesiącu znajomości. Naprawdę byli przyjaciółmi. Najlepszymi przyjaciółmi. I wiedziała od dawna, że jeśli pragnie nadal uczestniczyć w jego życiu, musi zaakceptować rzeczy takimi, jakimi są.

Była częścią jego życia, to fakt. Opowiadał jej o wszystkim. Nauczyła się słuchać i była zawsze pod ręką, gdy właśnie rozstawał się z kolejną dziewczyną. Zabierał ją wówczas na lunch lub na przyjęcie. Ale nigdy nie łudziła się nadzieją, że spędzą wspólnie cały wieczór.

Oczywiście Robert nigdy nie zostawił jej samej. Zawsze dopil-

nowa, aby ktoś odpowiedni - czyli odpowiedzialny, nudny i bezbarwny - odwiózł ją do domu. A potem całymi tygodniami wyśmiewał się z jej nowego „chłopaka”.

- Mam rację, prawda? - nalegał.

- Udawać? - Zmarszczyła brwi. - Oczywiście - dodała szybko. - Nigdy bym tego nie chciała. - Zerknęła na zegarek. - Ale teraz muszę już iść, żeby poddać się torturom zwężania sukni.

- Zwężania?

- To suknia w stylu empire. - Rozłożyła bezradnie ręce, a potem przycisnęła je do swego niewielkiego biustu. - No wiesz, duży dekolt, żeby było na co popatrzeć...

- Załóż jeden z tych staników na drutach, które podnoszą biust - zasugerował Robert.

- Trzeba mieć jednak coś, co się da podnieść.

Nie spierał się z nią na ten temat, tylko bezwiednie pogładził ją po rękawie zakietu.

- Nie przejmuj się, Daisy. Wszystko będzie dobrze. A na weselu będziesz się świetnie bawić, zobaczysz.

Uśmiechnęła się do niego krzywo.

- Ty na pewno nie będziesz się nudzić, bo drużba wprost nie może się uwolnić od nadskakujących mu dziewczyn.

Popatrzył na nią z góry.

- Nigdy nie udało mi się ciebie oszukać, prawda?

- Prawda - przyznała.

- Mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś się ze mną spotkać w sobotę?

- W sobotę?

- Jest przyjęcie u Monty'ego. Przyjadę po ciebie o ósmej i najpierw wpadniemy gdzieś na kolację.

Oczywiście, nigdy na myśl by mu nie przyszło, że ona może mieć inne plany. Przez chwilę korciło ją, by mu odmówić. Był tylko jeden problem - postąpiłaby tak po raz pierwszy w życiu. Dla Roberta zawsze miała czas...

- Przyjedź po mnie o wpół do dziesiątej - odparła, starając się przynajmniej nieco utrudnić mu zadanie. Wyłącznie po to, by udowodnić sobie, że w ogóle jest w stanie to zrobić.

- Dziewiąta trzydzieści? - Zmarszczył brwi, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

- Może lepiej o dziesiątej - powiedziała. - Obawiam się, że będziemy musieli zrezygnować z kolacji.

- Naprawdę? Ale dasz radę pójść na przyjęcie? - W jego głosie pojawił się cień niepokoju, który dostarczył Daisy niemałej satysfakcji. - Chyba nie znalazłaś sobie chłopaka? Jesteś przecież moją dziewczyną, dobrze o tym wiesz.

- Nie jestem - zaprzeczyła, uśmiechając się swoim najśłodszym uśmiechem. - Jestem twoją przyjaciółką. A to wielka różnica. - Robert nie wytrzymał z żadną ze swoich dziewczyn dłużej niż dwa miesiące. - Ale ponieważ i tak wybierałam się na imprezę do Monty'ego, cieszę się, że będziesz mi towarzyszył. - Od czasu do czasu musiała mu przypomnieć, że nie była na każde jego skinienie. Nawet za cenę wyrzeczenia się dobrej kolacji w jakiejś modnej restauracji. A co tam, własnoręcznie zrobiona kanapka w zupełności wystarczy.

A potem, gdy już uznała, że utarła mu trochę nosa i wprowadziła nieco zamętu do jego uporządkowanego świata, nadstawiła mu policzek do pocałowania. I jak zwykle pod wpływem niewinnego, przyjacielskiego gestu Roberta aż zadrżała z podniecenia.

Oczywiście mogła przedłużyć ten uścisk, jak również przedłużyć lunch, delektując się jeszcze kawą i deserem, ale rola młodszej siostry, w jaką się wcieliła, wymagała zachowania dystansu.

- Dzięki za lunch, Robercie - rzuciła z wymuszoną swobodą. - Do zobaczenia w sobotę. - A potem, nie oglądając się za siebie, wyszła z restauracji.

Dzisiaj było jej trudniej nie wypaść z roli. O wiele trudniej. Robert nie był aktualnie z nikim związany, nie spieszył się do żadnej ślicznotki. Może dlatego narobiła tyle zamieszania z powodu głupiej sukni. Nie tyle po to, by rozbawić Roberta, ale by opędzić się od nie-

bezpiecznych myśli.

Jakże byłoby miło zapomnieć o przymiarcie i zaproponować mu spacer po parku, wziąć go za rękę, a potem pod pretekstem pokazania nowego komputera zaciągnąć do swego mieszkania i tam napić kawą i brandy...

Kłopot jednak polegał na tym, że zbyt dobrze znała Roberta. Znała wszystkie jego słabostki. Dziś, gdy rzuciła go dziewczyna, z czym nie potrafił się jeszcze pogodzić, być może zechciałby sprawdzić, co Daisy Galbraith ukrywa pod niezbyt kobiecymi fatałaszkami, w których zwykle paradowała.

Ale co byłoby jutro? Albo za tydzień? A może nawet za miesiąc czy dwa, gdy jakaś inna, elegancka i piękna kobieta zawróci mu w głowie?

Wtedy nie byłoby już nic. Skończyłyby się wspólne lunchy, weekendowe wypady na ryby czy do parku. Wiedziała, że nie mogłyby się już spotykać, bo czuliby się w swym towarzystwie bardzo niezręcznie.

Co gorsza, musiałyby udawać, że nic się właściwie nie stało. W przeciwnym wypadku jej brat, Michael, nigdy nie wybaczyłby swemu najlepszemu przyjacielowi, że ten złamał jej serce.

Czasami desperacko rozważała takie rozwiązanie, łudząc się, że romans z Robertem być może wyleczyłby ją z tego fatalnego zauro-

czenia. Ale za każdym razem besztła się w myślach za tak idiotyczny pomysł. Mogła być szalona, ale nie była głupia. Kochała go od chwili, gdy ze swego wysokiego krzeselka zerkała zalotnie na siedmiolatka, który przychodził do jej brata na podwieczorek.

A poza tym wyleczenie się z tej miłości było ostatnią rzeczą na ziemi, na jakiej jej zależało.

- Jeszcze kawy, proszę pana?

Robert zaprzeczył ruchem głowy, zabrał z tacki kartę kredytową, a potem, pod wpływem nagłego impulsu, poderwał się od stolika i szybko pomaszerował w stronę drzwi, mając nadzieję, że złapie tam jeszcze Daisy i razem przejdą przez park. Daisy lubiła spacerować i zawsze nosiła wygodne buty. Była miłym kompanem. Od zawsze - nawet już wówczas, gdy jako małe dziecko, wiecznie włóczyła się za nim i za Michaeliem.

Robert zmarszczył brwi. Żółć? Co złego jest w żółci lub w... kaczątkach?

Stojąc na chodniku przed restauracją, wypatrzył wśród tłumu falującą burzę jasnych włosów. Daisy właśnie wchodziła do parku i Robert zrozumiał, że już nie zdoła jej dogonić. No cóż, zobaczą się w sobotę. Ale gdy wsiadał do taksówki, miał iście gradową minę.

O dziesiątej... Co na Boga Daisy zamierzała robić do dziesiątej

wieczorem?

Patrząc na siebie, rozebraną do bielizny, w rzędzie ogromnych luster, Daisy czuła się coraz bardziej nieswojo. Poczwała natomiast wdzięczność, gdy wreszcie odziano ją w żółty aksamit, mimo że fason sukni uznała za okropny. Miał maskować wady, jeszcze bardziej podkreślał jej zbyt szczupłą i płaską figurę.

Krawcowa, z ustami pełnymi szpilek, zbierała materiał na plecach. Gdy skończyła, skinęła głową z satysfakcją.

- Gotowe. Przyjdź na początku przyszłego tygodnia.

Czy nie dałoby się jej przekupić, by niby przypadkiem poplamiała to żółte paskudztwo kawą albo atramentem? - zastanawiała się Daisy.

- O co chodzi? - spytała krawcowa. - Nie podoba ci się?

- Żółty zupełnie nie pasuje do mojej cery.

- Nie martw się. Przy odpowiednim makijażu będziesz naprawdę ładną druhną - pocieszyła ją krawcowa.

O Boże, tego by jeszcze brakowało! W żadnym wypadku nie zamierzała współzawodniczyć z innymi druhnami, choć było to największym marzeniem jej matki.

- Daisy! - Ginny pojawiła się w drzwiach, a za nią pozostałe dorosłe drużny. Wszystkie były czarnowłose i porywająco piękne. Ro-

bert będzie miał wspaniałe pole do popisu, pomyślała Daisy z przekąsem. - Przyszłaś za wcześnie?

- Nie, kochana, to wy się spóźniłyście.

- Och, Boże, rzeczywiście! Byłyśmy u kosmetyczki. Też powinnaś się tam wybrać.

Tę uwagę można było zrozumieć dwojako. Jednak Daisy doszła do wniosku, że Ginny z pewnością nie chciała być uszczypliwa, gdyż złośliwość nie leżała w jej charakterze. Daisy nie miała wiele do zarzucenia swojej cerze, narzekała natomiast na zbyt duży nos i za szerokie usta. Kosmetyczka niewiele mogła tu poradzić.

Do biura wróciła przygnębiona.

- Och, Daisy, już jesteś?

Owszem, to chyba widać. I prawdopodobnie będzie tu przez resztę swoich dni. Wzięła się w garść; uzalenie się nad sobą jeszcze nikomu nie wyszło na dobre.

- O co chodzi, George? Ostrzegałam, że mogę się spóźnić.

- Naprawdę? - George Latimer dobiegał siedemdziesiątki i choć mało kto mógł równać się z nim wiedzą na temat sztuki orientalnej, jego pamięć pozostawiała wiele do życzenia.

- Byłam u krawcowej - przypomniała mu Daisy.

- Chyba byłaś także na lunchu z Robertem Furnevalem? - spytał

z zadumą w głosie.

Daisy odwróciła się zdziwiona. Była pewna, że nie wspominała o spotkaniu z Robertem...

- Skąd wiesz?

- Ubranie cię zdradza, moja droga - wyjaśnił szybko George. - Jesteś dziś od stóp do głów spowita w coś burego. Boisz się, że jeśli odsłonisz nieco swoje wdzięki, Robert rzuci się na ciebie? Wybacz, ale odniosłem wrażenie, że większość młodych kobiet byłaby tym zachwycona.

Jej udawane zdziwienie nie wyprowadziło George'a w pole. Może chwilami miewał kłopoty z pamięcią, ale jego spostrzegawczości nic nie można było zarzucić.

- Nie wiedziałam, że znasz Roberta - powiedziała, ignorując pytanie.

- Spotkaliśmy się kiedyś przelotnie. Znam natomiast jego matkę. Urocza kobieta. Wiesz zapewne, że jest autorytetem w dziedzinie sztuki japońskiej. Gdy usłyszała, że szukam asystentki, zadzwoniła do mnie i zasugerowała, bym cię zatrudnił.

Daisy aż usiadła z wrażenia.

- Nie miałam o tym pojęcia. - Jennifer Furneval zawsze była dla niej uprzedzająco miła, zupełnie jakby współczuła chudemu podlotkowi, który kręcił się wokół jej syna w nadziei, że zostanie zauważo-

ny. Nigdy nie dała po sobie poznać, że zna prawdziwy powód zainteresowania Daisy sztuką orientalną. Wprost przeciwnie, pożyczała i polecała jej różne książki, które stanowiły doskonały pretekst do odwiedzania domu Furnevalów. Również ona namówiła Daisy na studia na wydziale historii sztuki.

Daisy przestała przychodzić, by spotkać choć w przelocie Roberta, od chwili gdy zobaczyła go całującego się z Lorraine Summers...

Miała wówczas szesnaście lat i była niezgrabnym podlotkiem z kościstymi kolanami i łokciami oraz burzą jasnych włosów, które nie poddawały się żadnym fryzjerskim zabiegom. Podczas gdy wszystkie jej przyjaciółki przeistaczały się w piękne łabędzie, ona nadal pozostawała brzydkim kaczątkiem.

Jednak nie przejmowała się tym wówczas, ponieważ owe wdzięczące się do Roberta ślicznotki były o wiele za młode, by wyłudzić od niego coś więcej poza pobłażliwym uśmiechem. Tymczasem ona nie robiła do niego słodkich oczu i nigdy mu się nie narzucała. Mogła godzinami przyglądać się, jak łowił ryby. To w zupełności wystarczało jej do zupełnego szczęścia.

Pewnego pięknego lata, gdy Michael przebywał za granicą, jej cierpliwość została w końcu wynagrodzona. Robert wręczył jej wędkę i nauczył, jak się z nią obchodzić.

Te chwile oraz świąteczny pocałunek pod jemiolą - to były najwspanialsze prezenty, jakie wówczas dostała. Ale czar trwał zaledwie do czerwca, kiedy to zobaczyła Roberta całującego Lorraine Summers.

Lorraine zdecydowanie zasługiwała na miano łabędzia. Wspaniała figura, proste jasne włosy, ciuchy prosto z Francji, gdzie spędziła ostatni rok.

Robert wrócił właśnie z Oxfordu z dyplomem w kieszeni. Daisy pobiegła pędem, by się z nim przywitać i złożyć mu gratulacje. Ale Lorraine - ubrana w markowe džinsy, ze świetnym makijażem i z pomalowanymi paznokciami - zdołała ją ubiec.

Po tym zdarzeniu Daisy wpadała do Jennifer Furneval tylko wtedy, gdy była pewna, że nie zastanie Roberta.

On jednak nadal odwiedzał ją przy różnych okazjach. Michael był wówczas na studiach w Stanach Zjednoczonych, a mimo to Robert przychodził w niedzielę, by zaprosić przyjaciółkę na spacer lub na ryby. To prawda, że zawsze mógł polegać na Daisy, gdy chodziło o przygotowanie kanapek i termosu ze świeżą kawą, a Lorraine oraz jego kolejne dziewczyny pewnie nie miały ochoty wstawać w niedzielę o świcie, by potem przesiadywać w milczeniu nad wodą.

- Myślę, że ona martwi się o niego - odezwał się George Latimer po chwili zadumy.

Daisy otrząsnęła się z natrętnych wspomnień.

- O Roberta? - zdziwiła się. - Dlaczego? On przecież kroczy od sukcesu do sukcesu.

- Być może na polu zawodowym. Jednak każda matka pragnie, aby syn się wreszcie ustatkował, ożenił, miał dzieci.

- Będzie musiała długo poczekać. Robert bardzo sobie chwali kawalerski stan. Mieszkanie w Londynie, dobry samochód w garażu i piękna dziewczyna na każde skinienie... Nie zamieni tego wszystkiego na domek na przedmieściach, codzienne dojazdy kolejką i bezsenne noce przy łóżeczku dziecka.

George postanowił wrócić do interesującego go tematu.

- Właśnie dlatego tak skromnie się ubierasz, gdy idziesz z nim na lunch?

Do licha, George Latimer był naprawdę inteligentny!

- Jesteśmy przyjaciółmi, George - rzekła tonem usprawiedliwienia. - Dobrymi przyjaciółmi. I nie chcę, by pomylił mnie z innymi swoimi dziewczynami.

Jednak Daisy nie czuła się w tej chwili zbyt swobodnie, ponieważ George Latimer ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku.

- Może zaparzę herbatę? - zaproponowała, chcąc skierować jego myśli w inną stronę. - A potem przejrzymy razem katalog kolekcji. Przypuszczam, że czekałeś z tym na mnie?

- Och, tak! - George spojrział z roztargnieniem na dużą, lakierowaną broszurę. - Na aukcji będzie znakomita kolekcja porcelany. Chciałbym, abyś pojechała tam we wtorek i przyjrzała się jej z bliska. Wiesz, czego poszukuję... A ponieważ będziesz reprezentować galerię i z pewnością nie spotkasz tam Roberta Furneala, będę wdzięczny, jeśli włożysz ten czerwony kostium z krótką spódnicą. Bardzo ładnie w nim wyglądasz.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że tak interesujesz się moimi strojami, George - odcięła się.

- Jestem mężczyzną. A poza tym lubię piękne rzeczy. Czy masz jakieś buty na wysokim obcasie? Postaraj się wyglądać tak, żeby jak najbardziej rozpraszać konkurencję - dodał z uśmiechem.

- Jestem zaszokowana, George! To najbardziej szowinistyczna wypowiedź, jaką kiedykolwiek słyszałam. - A po chwili dodała: - Wiesz, widziałam ostatnio fantastyczne pantofle Jimmy'ego Choo. Czy mogę kupić je na koszt firmy?

- Ale tylko wtedy, kiedy mi obiecasz, że włożysz je na następny lunch z Robertem Furnealem.

- W takim razie trudno. Włożę mokasyny na płaskim obcasie i będę w nich wyglądać jak szara myszka.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sobota, dwudziesty piąty marca. Kupiłam te buty. Są piękne i kosztowały majątek. Wydałam wszystkie pieniądze, jakie dostałam od taty na urodziny. Mam wielką ochotę wystąpić w nowych pantoflach na przyjęciu u Monty'ego! I pewnie bym tak zrobiła, gdyby nie Robert... Ciekawe, czy ktokolwiek zauważył, że ubieram się inaczej, gdy mam się spotkać z Robertem. Być może Michael... Jestem pewna, że mój brat zna prawdę, ale nigdy nie wspomniał o tym ani słowem. A zatem nadal będę jedynie cierpliwą słuchaczką, pocieszającą Roberta po rozstaniu z kolejną dziewczyną. I nadal będę wracać sama do domu po przyjęciach...

Daisy miała mnóstwo czasu na przeglądanie swojej garderoby i wybór odpowiedniego stroju na wieczorne przyjęcie. Miała też mnóstwo czasu, aby wymyślać sobie od idiotek.

Mogła zjeść kolację z Robertem w jakiejś wytwornej restauracji, a zamiast tego z powodu fałszywej dumy przeżuwała bez apetytu kanapkę z serem i oglądała głupi program rozrywkowy w telewizji. I choć wmawiała sobie, że wykazała się dużym rozsądkiem, z minuty na minutę miała coraz gorszy humor.

Chyba pora coś zmienić w swoim życiu. Wyłączyła telewizor, odłożyła nadgryzioną kanapkę i znów zaczęła przeglądać garderobę. Mimo wszystko powinna chyba poszukać sobie chłopaka, choćby tylko po to, aby ostudzić nadmierny zapał matki, która gotowa siłą zmusić córkę do zamążpójścia.

Oczywiście nie mogła konkurować z pięknymi dziewczynami Roberta, ale nie narzekała na brak powodzenia u płci przeciwnej. Młodzi mężczyźni, których Robert przydzielał jej często jako eskortę, gdy sam urywał się z przyjęcia z jakąś nowo poznaną panienką, nie pozostawali obojętni na wdzięki Daisy. Chcieli się z nią umawiać, dzwonili, nagabywali...

Och, nie! Nie zrobiłby chyba czegoś podobnego! Zaczerwieniła się na samą myśl, że Robert być może ich do tego zachęcał.

Czyżby zabierał ją na przyjęcia po to, aby umożliwić jej poznanie kogoś odpowiedniego? A może jej matka go o to prosiła?

Tak, matka byłaby do tego zdolna, pomyślała z rezygnacją. I Daisy mogła być jedynie wdzięczna losowi, że w głowie jej rodzicielki nigdy nie zaświtał pomysł, by wyswatać swą latorośl z samym Robertem. Najprawdopodobniej uznała, że młody Furneval jest nieosiągalną partią dla takiej przeciętnej dziewczyny, jak jej córka.

Wyciągnęła z szafy jedwabne szare spodnie. Zamierzała włożyć do nich czarny prosty sweter. Był to zestaw bez wątplenia ele-

gancki, niemniej jednak nudny i nie rzucający się w oczy. Gdyby szła na przyjęcie bez Roberta, z pewnością wybrałaby coś bardziej ekstrawaganckiego.

A może mimo wszystko powinna pozwolić sobie na odrobinę szaleństwa? Skoro Robert popychał ją w ramiona swych młodych podwładnych z banku, to przecież i tak nie miało znaczenia, w co się ubierze, nieprawdaż?

Do diabła! Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? Chciała być jego przyjaciółką. A przyjaciół nie traktuje się protekcjonalnie...

Zamrugnęła powiekami, ale nie zdołała powstrzymać łez, które spływały teraz wolno po policzku. Tak bardzo pragnęła być rozsądna - ale w wypadku jej miłości do Roberta, rozum zawodził. Nie robiły na niej wrażenia ani jego odpowiedzialne stanowisko w banku, ani jego pieniądze czy szybkie samochody lub oszałamiająca męska uroda. Kochała go bez tych paradnych dodatków. Zawsze go kochała. I nic nie mogła na to poradzić.

Długo łudziła się, że wyjazd na studia położy kres temu zauroczeniu. Naprawdę miała nadzieję, że pozna na uczelni mężczyznę, dzięki któremu będzie potrafiła zapomnieć o Robercie. Może nie rozglądała się zbyt uważnie? A może w głębi duszy wcale nie chciała nikogo poznawać?

Nadszedł jednak czas, by zamknąć ten rozdział, położyć kres głupiej grze, w która się uwikłała. Powinna wycofać się, nim uczyni coś naprawdę szalonego.

Wierzchem dłoni wytarła policzek z mocnym postanowieniem, że zajmie się czymkolwiek, byle tylko mieć jak najmniej wolnego czasu. Kiedyś chciała się nauczyć robić na drutach...

Och, na litość boską! Nie będzie kręcić się wokół Roberta i czekać, aż raczy z nią zatańczyć. Dziś wieczorem znajdzie sobie kogoś, kto odwiezie ją do domu. A jeśli nie, to z godnością wyjdzie sama... Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i obiecała sobie, że poszuka partnera, z którym mogłaby pójść na ślub Ginny. Przynajmniej sprawi przyjemność matce.

Wydmuchwała nos i poszła pod prysznic.

Dziś wieczorem nie będzie starała się oszpecić. Postanowiła, że pomaluje paznokcie na jaskrawy czerwony kolor, obficie skropi się perfumami i, zamiast zapleść włosy we francuski warkocz, pozostawi je rozpuszczone. Nie była to elegancka fryzura. Jej włosy nie mogłyby konkurować miękkością z jedwabiem, nie miały blasku, nie układały się kokieteryjnie, nie chwytaly promieni światła, krótko mówiąc - nie wyglądały tak wspaniale, jak w reklamie szamponu. Najlepszym rozwiązaniem byłoby ogolenie głowy do gołej skóry, pomyślała ponuro, starając się choć trochę uładzić niesforną burzę

loków. Ale nawet dobra, miła, słodka Ginny nie zgodziłaby się na skinheada w roli druhny.

Ostry dzwonek do drzwi przerwał te bezsensowne rozważania. Zerknęła na zegarek; dochodziła za piętnaście dziesiąta. Przyszedł za wcześnie, a zatem nie potrafił się pogodzić z jej nową taktyką postępowania. To było naprawdę niezwykle. Naciskając guzik domofonu, uśmiechnęła się do siebie.

- Jesteś za wcześnie.

- Wypiję drinka i poczekam - poinformował ją Robert beznamiętnym tonem.

Wpuściła go do budynku i poszła do sypialni, aby pomalować usta na taki sam czerwony kolor, na jaki wcześniej pomalowała paznokcie.

- Wino jest w lodówce! - zawołała z sypialni, patrząc nerwowo na swe odbicie w lustrze i zastanawiając się, czy nie posunęła się za daleko.

- Nalać ci kieliszek?

- Poproszę. - Musiała coś wypić. Na dobry początek. Wpięła w uszy długie srebrne kolczyki, potem założyła nowe buty. Uznała jednak, że przy tym stroju nikt ich nie zauważy, zdjęła je więc i ganiąc się w duchu za tchórzostwo, włożyła pantofle na płaskim obcasie.

Robert - wysoki, o silnych ramionach, prezentujący się oszala-

miająco w jasnym garniturze i ciemnozielonej koszuli - na jej widok zatrzymał się w drzwiach. Popatrzył na szerokie jedwabne spodnie oraz na obcisłą czarno-srebrną bluzkę, która przypominała trykot tancerki baletu, i nie powiedział ani słowa.

Musiał pomyśleć, że Daisy wygląda jak mała dziewczynka, która całe popołudnie bawiła się kosmetykami matki, był jednak zbyt dobrze wychowany, aby to powiedzieć. Daisy zauważyła dziwny wyraz jego twarzy i miała ochotę pobiec do łazienki, zmyć makijaż i wyszorować twarz mydłem.

- Wychodziłaś... ? - spytał z lekkim wahaniem, podając jej kieliszek.

Przez moment nie zorientowała się, o co mu chodzi.

- Nie mogłaś pójść ze mną na kolację - przypomniał, mrużąc oczy.

- Och, tak... - Zastanawiała się przez chwilę. - Byłam zajęta... sprawami zawodowymi. - Chwyciła się tej wymówki jak ostatniej deski ratunku. Nie mogła dopuścić, by się domyślił, że po prostu chciała mu utrzyć nosa.

- Oglądałaś coś interesującego? Gdybym wiedział, poszedłbym z tobą. Szukam urodzinowego prezentu dla mamy.

- Na przykład czego? - spytała, by odwrócić jego uwagę od właściwego tematu.

- Jeszcze nie wiem. To powinno być coś wyjątkowego. Co oglądałaś? - nalegał, nie dając za wygraną.

- Właściwie nic ciekawego...

Uniósł brew i powstrzymując się od dalszych komentarzy, upił łyk wina.

Nie uwierzył jej. Ale co innego mogła powiedzieć? Nie chciała się przyznać, że wolała zostać w domu i oglądać telewizję, zamiast zjeść z nim kolację. Nie zrozumiałby powodów, a ona nie miała ochoty niczego mu wyjaśniać.

- Wychodzimy? - spytała.

Robert Furneval skinął na taksówkę.

- Mogliśmy pójść piechotą - powiedziała Daisy, wsiadając do auta.

- Jeśli rzeczywiście pracowałaś, zasługujesz na to, by pojechać taksówką

Jeśli... Dlaczego, do diabła, to powiedział? Instynktownie przeczuwał, że nie była z nim szczerą. Tak, miała dziwnie skruszoną minę, a jednocześnie wyglądała niezwykle powabnie... Gdyby George Latimer był trzydzieści lat młodszy, Robert zacząłby podejrzewać przyjaciółkę o romans z szefem.

Oczywiście, to śmieszne. Ale skoro była zajęta do wpół do dziesiątej, nasuwało się podejrzenie, że spotyka się z żonatym męż-

czynną, który o określonej porze musi wrócić do domu. Zerknął na nią z ukosa. Nawet w mroku panującym w taksówce zauważył, że oczy jej bardzo błyszcząły. No i te rumieńce... Ale czy Daisy wplątałyby się w taki romans?

Myślał, że ją dobrze zna, jednak nagle przyszło mu do głowy, że właściwie niewiele potrafiłby powiedzieć o jej życiu osobistym. Jak spędzała wolne wieczory? Czy z kimś się spotykała?

Nigdy dużo o sobie nie mówiła. Może dlatego, że rzadko o coś pytał? Nie, to nieprawda. Potrafił przecież rozmawiać z kobietami, a szczególnie z Daisy, którą znał od dziecka. Nagle jednak dziewczyna, siedząca obok niego w taksówce, wydała mu się prawie obca.

Zawsze myślał o niej jak o młodszej siostrze Michaela. Wesoła, zabawna dziewczyna, która nigdy nie robiła problemu, że zabłoci nogi nad rzeką. Ale dziś wieczór jej oczy lśniły, a policzki dosłownie płonęły. Domyślał się, co to oznacza... Ponieważ jednak chodziło o Daisy, czuł się wyjątkowo niezręcznie. Prawie tak, jakby przypadkiem odkrył czyjaś tajemnicę.

Zauważyła właśnie, że na nią zerka, uniosła pytająco brwi i uśmiechnęła się lekko.

- Co się stało, Robercie? Nadal tęsknisz do porywającej Janinę?

- żartowała.

Odetchnął z ulgą. Nie, Daisy się nie zmieniła. To on był dziw-

nie spięty.

- Urażona duma, nic więcej - powiedział.

- Robisz się nieostrożny, Robercie - wytknęła mu. - Pewnego dnia obudzisz się na czele orszaku ślubnego w charakterze pana młodego.

- Och, przestań mi dogryzać.

- W porządku. Ale powiedz mi, z którym to miłym człowiekiem planujesz odesłać mnie dzisiaj do domu?

- Kto ci powiedział, że planuję cię z kimś odsyłać?

- W określonych sytuacjach zawsze tak robisz.

- W określonych sytuacjach?

- No wiesz... - Przycisnęła dłonie do serca i zaczęła go naśladować: - Co za wspaniała rudowłosa piękność! Poszedłbym z nią do klubu... Ale, o Boże, co zrobię z Daisy? - Uśmiechnęła się złośliwie. - Mam na myśli właśnie takie sytuacje.

- Och, znów mi dokuczasz! Dziś, moja panno, osobiście odprowadzę cię do domu i...

- I?

Mógł zażartować na temat chłopców, którzy ją odprowadzali, ale wiedział przecież, że poza „dobranoc” i „dziękuję”, do niczego więcej nigdy nie doszło.

- Ale mnie nie wystarczy zwykłe „dobranoc” i uścisk dłoni -

powiedział buńczucznie. - Za swą fatygę spodziewam się dostać kawę i wielką kanapkę z bekonem.

- Skąd wiesz, że oni zadowolają się uściskiem dłoni? - spytała zaczepnie. - Czyżby składali ci raporty?

- Oczywiście - skłamał bez zastanowienia. Nie musieli nic opowiadać, ich rozczarowane miny mówiły same za siebie. - Zawsze pytam, czy dotarłaś bezpiecznie do domu.

- I nigdy nie przyszło ci do głowy, że może nie mówią całej prawdy?

- Nie ośmieliliby się kłamać.

- Czyżby? - Otwarcie z niego kpiła. - Uważaj, Robercie, ponieważ pewnego dnia możesz stracić kontrolę nad sytuacją. A jeśli rzeczywiście potrafisz oderwać się od wspaniałej rudowłosej albo blondynki czy brunetki, dostaniesz tyle kawy i kanapek, ile tylko zdołasz pochłonąć.

- Dzisiaj wieczorem nie mam zamiaru szaleć, będę się oszczędzać dla uroczych drухen. Powiedziałaś przecież, że są urocze, nieprawdaż?

- Olśniewające. Opowiem ci o nich wszystko, jeśli zaprosisz mnie w przyszłym tygodniu na kolację, zgoda?

- Wiedźma - wymamrotał pod nosem, gdy taksówka zwolniła.

Wysiadł pierwszy, ale nim zdążył zapłacić kierowcy, Daisy już

wmieszała się w tłum gości, serdecznie przez nich witana. Należała do tych dziewczyn, które chętnie zapraszano na przyjęcia. On też chętnie przebywał w jej towarzystwie... I nagle doszedł do wniosku, że właściwie nie widywał się z nią zbyt często.

Ktoś włożył mu do ręki kieliszek. A potem znajomy, który chciał uzyskać poradę na temat korzystnych inwestycji, odciągnął go na bok. Jeszcze później przyczepiła się do niego jakaś dziewczyna, która go znała, a on nie pamiętał jej imienia.

I nagle zobaczył, że Daisy rozmawia z wysokim, jasnowłosym i zupełnie nieznanym mężczyzną. Z osobnikiem, który patrzył na nią w wielce wymowny sposób.

- Przepraszam - wymamrotał Robert do rozszczebiotanej blondynki i odszedł, rezygnując z wysiłku przypomnienia sobie jej imienia.

Smukły, opalony i uderzająco przystojny mężczyzna był Australijczykiem. Daisy, rozmawiając z nim, głośno się śmiała. Można by pomyśleć, że świetnie się bawiła. Robert poczuł się oszukany. Przecież przyszła tu z nim!

- Czy mogę podać ci coś do picia, kochanie? - zapytał, obejmując ją protekcjonalnie ramieniem.

- Nie, dziękuję - powiedziała, patrząc na niego ze zdziwieniem, ponieważ rzadko zajmował się nią, gdy wychodzili razem na przyję-

cie. - Nick się mną opiekuje. Czy już się poznaliście? Nick, to jest Robert Furneval. Nick Gregson.

Robert popatrzył na Australijczyka takim wzrokiem, jakby chciał zasugerować, że ten powinien znaleźć sobie inną partnerkę do rozmowy. Nick spojrział na Daisy, zawahał się, w końcu wzruszył ramionami i zniknął w tłumie.

- Co się stało? - Daisy odwróciła się do Roberta. - Czyżby żadna blondynka nie złapała się jeszcze na twoje czułe słówka?

- Jesteś dziś rozdrażniona, skarbie. Może wściekasz się, bo przyznałem ci rację, że na ślubie Michaela będziesz wyglądać jak kaczka?

- Słucham?

- Niestety, to prawda, będziesz wyglądać jak kaczka... - powtórzył Robert akurat w chwili, gdy w zatłoczonym salonie zapadła cisza. Wszyscy goście odwrócili się jak na komendę i spojrzeli na Daisy z nie skrywanym zaciekawieniem.

Daisy spłoneęła rumieńcem.

- Dziękuję ci, Robercie - powiedziała z pasją. - Naprawdę sprawiłeś mi ogromną przyjemność. - A potem wcisnęła mu do ręki swój kieliszek i obróciła się na pięcie.

Daisy była wściekła. Nie pamiętała, aby kiedykolwiek przedtem była zła na Roberta. Miała wrażenie, jakby przed chwilą ktoś

podał jej sole trzeźwiące. Wrażenie było piorunujące i z niczym nieporównywalne.

Krażąc wśród gości, natknęła się ponownie na opalonego Australijczyka. Daisy zachowywała się wobec niego nadzwyczaj kokieteryjnie, widząc, że Robert co i rusz zerka na nich ze złością, niewiele uwagi poświęcając swojej rozmówczyni - tym razem ponętnej brunetce.

- Czy ty i on...? - Nick gestem głowy wskazał na Roberta, a potem wzruszył bezradnie ramionami, jakby zabrakło mu odpowiednich słów.

Daisy oderwała wzrok od Roberta i skupiła całą swoją uwagę na Nicku.

- Robert i ja? - Roześmiała się z przymusem. - Łączy nas wyłącznie przyjaźń. Znamy się od kołyski. Jesteśmy jak brat i siostra.

- Doprawdy? - Uśmiechnął się szeroko. Miał wspaniałe zęby, olśniewającą bielą kontrastującą z opalenizną. - Twój przyjaciel patrzy na mnie wzrokiem bazyliuszka. Może powinniśmy stąd wyjść? Co powiesz na klub?

Właściwie nie miała nic przeciwko temu. Brunetka najwyraźniej zmierzała do opuszczenia przyjęcia z Robertem u boku. Jeszcze pięć minut i Robert całkiem zapomni o kanapce z bekonem... Zapomni, aż do następnego razu... Cóż, sama narzuciła sobie taką rolę i

dzięki temu Robert zawsze wracał do niej, gdy chciał się komuś wyzalić. Jeśli nie zrobi teraz żadnego głupstwa, taki stan rzeczy może trwać latami.

A na razie przyjemnie będzie wesprzeć się na ramieniu przystojnego mężczyzny, który jest nią wyraźnie zainteresowany.

Gdy patrzyła na Nicka, przyszło jej do głowy, że zrobiłby wielkie wrażenie na jej matce. A skoro powiadają, że trzeba kuć żelazo, póki gorące...

- Czy masz jakieś plany na weekend za dwa tygodnie? - spytała śmiało.

Nick otworzył usta, potem je zamknął, a jeszcze później znów je otworzył i powiedział:

- Co masz na myśli?

- Nic specjalnego. Zastanawiałam się tylko, czy nie poszedłbyś ze mną na ślub mojego brata.

- Brata czy przyjaciela? - Zerknął na Roberta.

- Robert jest drużbą, to mój brat Michael się żeni.

- Bardzo chętnie bym poszedł. Uwielbiam śluby. Ale niestety, będę wtedy w Perth.

- Masz na myśli Perth w Australii? - spytała, mając jeszcze słabą nadzieję, że chodzi o Szkocję.

W odpowiedzi uśmiechnął się szeroko. Zaczynała podejrzewać,

że zarabiał na życie, reklamując pastę do zębów.

- Obawiam się, że tak. Ale mimo to możemy umówić się na randkę. Odpuść sobie ślub brata i pojedź ze mną.

Mężczyzna składający tego rodzaju propozycje niewątpliwie musiał być ekscentryczny. Może miał wybujałą wyobraźnię? A może był po prostu pijany? Nie, chyba nie wypił zbyt dużo. W każdym razie na pewno nie był nudny.

- Muszę ci odmówić. Jestem czwartą druhną, rozumiesz? - Gdyby uciekła na drugi koniec świata z nieznanym mężczyzną jedynie po to, aby uniknąć roli druhny, matka na pewno by się jej wyrzekła. Co innego, gdyby uciekła, aby wyjść za mąż... Może zostałoby jej to wybaczone, kto wie? I z pewnością mogłaby wreszcie zapomnieć o Robercie...

- Po co aż cztery druhny? - naciskał.

- Tak ma być, i koniec. A poza tym, dlaczego miałabym rozważać taką niedwuznaczną propozycję złożoną mi przez zupełnie obcego mężczyznę.

Nick nie przejął się zbytnio ostatnim argumentem.

- Wyjeżdżam dopiero za trzy dni. Mamy mnóstwo czasu, żeby się lepiej poznać. Zacznijmy może od wspólnego tańca, co ty na to?

- Całe trzy dni? - spytała ironicznie, podczas gdy on zręcznie wyjął jej kieliszek z ręki, a potem objął ją w pól i przyciągnął do siebie.

- Nie tracisz czasu, prawda? - dodała.

- Trzeba korzystać z życia.

- Jesteś szalony!

- Dlaczego tak uważasz? Dlatego, że chcę cię lepiej poznać? A może jesteśmy dla siebie stworzeni? Jeśli jednak pójdziesz na ten ślub, a ja polecę do Australii, nigdy się tego nie dowiemy.

- Trudno - odpowiedziała, choć nie sądziła, by istotnie było czego żałować. Podejrzewała, że Nick szukał dziewczyny, która umiliłaby mu czas, jaki pozostał do odlotu do Australii.

- Nie chciałabyś się tego dowiedzieć? - Głos Nicka wyrwał ją z zamyślenia.

- Czego się dowiedzieć?

Pytanie było głupie. Gdy przystanęli na chwilę w skąpo oświetlonym rogu pokoju, Nick pochylił się i zaczął ją całować.

Było przyjemnie, ale Daisy odsunęła się szybko, gdy pieszczota stała się zbyt namiętna. Z pewnym żalem popatrzyła na wysokiego, opalonego faceta. Tak, jej matce Nick z pewnością by się spodobał.

- Przykro mi - powiedziała. - Ale chyba musimy to tak zostawić i żyć w nieświadomości.

Nick roześmiał się szczerze ubawiony.

- Wiesz, naprawdę wpadłaś mi w oko - przekonywał.

- Przepraszam... - Wyzwoliła się z jego objęć, odwróciła i sta-

nęła oko w oko z Robertem.

- Chyba nie zapomniałaś o naszym układzie, prawda? - zapytał, patrząc z wściekłością na Nicka.

Układzie? Czyżby naprawdę zamierzał odwiedzić ją do domu?

- Och, Robercie, na litość boską, poflirtuj sobie z kimś odpowiednim!

- Pozwolisz, że zrobię to później. Najpierw zatańczymy. - Nie czekając na odpowiedź, objął Daisy w talii. - Spytałbym cię, czy dobrze się bawisz, ale to przecież widać gołym okiem - dodał sarkastycznym tonem.

- Owszem, bawię się dobrze - przyznała, gdy poruszali się po parkiecie w rytm muzyki. Tańczyła z nim tak rzadko, że nie zdążyła się do tego przyzwyczaić. Władczo zacisnął ramię wokół jej talii i przez długą, błogą chwilę, czując go tak blisko, zapomniała o całym świecie. Ale w końcu musiała wrócić do rzeczywistości. Ten moment był zawsze bardzo trudny. - Otrzymałam nawet propozycję małżeństwa - rzuciła, aby dodać sobie otuchy.

Słowa te przyniosły pożądany efekt. Robert zatrzymał się, odsunął trochę, a na jego czole pojawiły się głębokie pionowe zmarszczki.

- Wyglądasz na zdenerwowaną - powiedział. - Jakoś inaczej niż zwykle... Powiedz... Czy coś było nie w porządku?

- Nie w porządku? - zdziwiła się. - Może i złamałam mu serce - dodała po namyśle. - Jestem jednak pewna, że wyzdrowieje.

- O czym ty mówisz? - Mocniej ściągnął brwi.

- On mieszka w Australii - wyjaśniła spokojnie. - Gdybym z nim pojechała, nie mogłabym być druzną na ślubie Ginny. Och, wszystko w porządku, Robercie - dodała uspokajająco, widząc oszłomienie na jego twarzy. - Idź już, spełniłeś swój obowiązek. A ja sprawdzę, czy Monty nie potrzebuje kogoś do pomocy przy serwowaniu jedzenia.

Skierowała się do kuchni, ale Robert podążył w ślad za nią jak cień.

- Daisy, moja kochana! - powitał ją radośnie Monty na progu, wręczając jej fartuch. - Przed chwilą dostarczyli te wszystkie pudelka. Nie mam pojęcia, co z tym robić!

- Trzeba to włożyć do piekarnika i podgrzać - poradziła. - Oczywiście, byłoby lepiej, gdybyś podał jedzenie na aluminiowych tackach... Nie sądzę, by ktoś miał ci to za złe.

Gdy przechwyciła z lekka przerażone spojrzenie Monty'ego i Roberta, bez zbędnych słów założyła fartuch i sama wzięła się do roboty. Już po kilku sekundach żałowała, że zamiast zająć się bliższym poznawaniem Nicka Gregsona, zgodziła się pracować w charakterze bezpłatnej pomocy kuchennej.

Trudno. Wzruszyła ramionami i zaczęła pieczołowicie układać jedzenie na tackach. Gdy odwróciła się, by postawić to wszystko na stole, zauważyła, że Robert nadal stoi w drzwiach.

Zazwyczaj na przyjęciach nie poświęcał jej tyle uwagi. Czuła się trochę zażenowana jego intensywnym spojrzeniem.

- Tu jest drugi fartuch, jeśli masz ochotę mi pomóc - powiedziała.

Uzyskała pożądaną efekt. Ostatecznie przynajmniej pomógł jej przy pasztecikach, a potem wreszcie zniknął bez słowa.

Dwie godziny później miała już dość życia towarzyskiego. Serwowała jedzenie, wysłuchiwała aktualnych plotek, tańczyła więcej niż zwykle. Przyjęcie można by było zaliczyć do udanych, gdyby nie to, że przez cały czas Robert kręcił się w pobliżu i bacznie ją obserwował. Nie chciała, by tak jej się przyglądał... Miał zmarszczone czoło, co świadczyło o niepokoju lub niezadowoleniu. Zawsze sądziła, że wie, jakimi torami podążają jego myśli, ale dziś chyba straciła rozeznanie.

Właściwie nic się przecież nie zmieniło. Nadal pozostawał głównym obiektem zainteresowania wszystkich wolnych dziewczyn na przyjęciu, a nawet kilku zajętych, toteż wcale nie spodziewała się, że będzie miał ochotę na obiecaną kanapkę i kawę. Postanowiła jednak, że tym razem nie pozwoli, by odprowadzał ją do domu ktoś wybrany

przez Roberta.

Wykorzystując moment nieuwagi przyjaciela, przemknęła niepostrzeżenie do przedpokoju i wzięła płaszcz. Ale nim dotarła do drzwi, jak spod ziemi wyłonił się Nick.

- Hej! Chyba nie myślisz, że wyjdiesz beze mnie? Jesteśmy prawie zaręczeni, nieprawdaż?

- Nieprawda, nie jesteśmy. - Uśmiechnęła się, mimo wszystko zadowolona, że komuś się wreszcie spodobała. - Przecież wiesz, że to niemożliwe...

- Nie ma rzeczy niemożliwych. Kiedyś w Las Vegas wziąłem ślub z kobietą, której prawie nie znałem.

- Naprawdę? - Dlaczego jej to nie dziwi? - I nadal jesteście małżeństwem?

- Skądże! - Wyglądał na urażonego. - Czy wyglądam na bigami-
stę? Wiesz, w Las Vegas jest fantastycznie! Dzisiaj ślub, jutro roz-
wód, rozumiesz?

Nie wiedziała, czy mu wierzyć, czy potraktować jego słowa jak kiepski żart. Obawiała się jednak, że mówił szczerą prawdę.

- Gdzie chciałabyś wziąć ślub? - ciągnął. - Moglibyśmy zatrzy-
mać się w jakimś egzotycznym miejscu. Co myślisz o ceremonii na pla-
ży? To takie romantyczne... Co powiesz na Bali?

Bali brzmiało o wiele bardziej atrakcyjnie niż żółta welwetowa

suknia. Ale występ w sukni był torturą kilkugodzinną, a związek z innym człowiekiem... Cóż, małżeństwo było dla Daisy zobowiązaniem na całe życie.

- Mam uczulenie na piasek - powiedziała. - I boję się latać.

- Naprawdę? - Nie wyglądał na zniechęconego. - W takim razie może być ślub na statku. Wystarczy poprosić kapitana...

- To mit, że kapitan może udzielić legalnego ślubu - odparła. Dowcipy Nicka zaczynały ją z wolna nużyć. - W tej chwili interesuje mnie tylko powrót do domu. Bez asysty - dodała, po czym otworzyła drzwi i wyszła na ulicę.

Jednak niełatwo było pozbyć się natrętnego wielbiciela.

- Ulice o tej porze nie są bezpieczne, zwłaszcza dla samotnej kobiety - powiedział, wychodząc za nią.

- A z tobą jestem bezpieczna? - spytała zaczepnie.

- To zależy wyłącznie od ciebie - obiecał. - Słowo harcerza!

Nim zdążyła powiedzieć, że nie wierzy, by kiedykolwiek był harcerzem, Nickowi udało się złapać taksówkę.

- Daisy! - To był Robert. - Tutaj jesteś, kochanie. Szukałem cię wszędzie. Już nie mogę się doczekać na kawę i kanapkę, które mi obiecałaś - powiedział, biorąc ją pod rękę i uśmiechając się serdecznie do Nicka. - Dzięki za załatwienie taksówki, Gregson! O tej porze to graniczy z cudem.

Potem usiadł obok Daisy na tylnym siedzeniu i zatrzasnął drzwi, pozostawiając Nicka Gregsona w kompletnym osłupieniu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Niedziela, dwudziesty szósty marca. Idziemy do kościoła na ostatnie zapowiedzi. Potem wracamy do domu na lunch. Mama jest w swoim żywiole. Robert zaproponował, że mnie podrzuci. Odmówiłam, twierdząc, że wolę się przejść. Czyba się nie obraził?

- Daisy?

Wiedziała, że to on, gdy tylko rozległ się dzwonek do drzwi. Serce zabiło jej żywiej na tę myśl.

Zerknęła na zegarek, ziewnęła i mocniej zacisnęła pasek szlafroka. Dlaczego pobudka w Londynie była o wiele trudniejsza niż na wsi?

- Robercie, jest środek nocy - powiedziała.

- Jest wpół do ósmej. Pora wstawać.

- Naprawdę? - Zamrugnęła powiekami, spoglądając na zegarek. -

A ja myślałam, że za dwadzieścia pięć szóstą.

- Lepiej spraw sobie okulary.

- Nie potrzebuję okularów. Potrzebuję snu. Czy musiałeś przychodzić tak wcześnie?

- Nie, ale miałem nadzieję, że zrobisz mi śniadanie. Nie dostałem przecież obiecanej kolacji.

- Nie zasłużyłeś sobie na kolację.

- Możliwe. Nigdy nie twierdziłem, że jestem doskonały. Choć niewątpliwie jestem bliski ideału.

Słyszając rozbawienie w jego głosie, z uśmiechem oparła głowę o futrynę drzwi. To prawda. Był cholernie bliski doskonałości...

- Na śniadanie też nie zasługujesz - powiedziała.

- Nie? A któż inny zrywałby się z przyjęcia, żeby odstawić niewdzięcznego kumpla do domu?

- Wejdz. - Zdjęła łańcuch, a potem poszła do kuchni i nastawiła wodę na kawę.

Wiedziała, że lada chwila Robert stanie za nią w kuchennych drzwiach.

- Nie udawaj, że jesteś na mnie zła. - To nie była prośba. Powiedział to z przekonaniem kogoś, kto zdawał sobie sprawę, że nie można mu się oprzeć.

Daisy nie odwróciła się; wiedziała, że Robert się uśmiecha, a

jego uśmiechowi trudno się było oprzeć.

Jakie to niesprawiedliwe... Ale kto powiedział, że świat oparty jest na sprawiedliwości?

- Oczywiście, że jestem na ciebie zła - odpowiedziała, nadal stojąc tyłem do niego. - Zerwałeś mnie z łóżka w niedzielę rano bez żadnego sensownego powodu.

- Powinnaś mi podziękować za wczorajszy wieczór - wyjaśnił.

- Wczorajszy wieczór? - Udawała, że się zastanawia. - Czyżby chodziło ci o Nicka? Dzięki, że mi przypomniałeś. Po raz pierwszy udało mi się poderwać najprzystojniejszego faceta, a ty przegoniłeś go w obawie, że stracisz kolację.

- I rzeczywiście musiałem obejść się smakiem - wtrącił.

- Chyba nie sądziłeś, że po tym wszystkim jeszcze cię nakarmię? - Odwróciła się na pięcie i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Po prostu się tobą zaopiekowałem. Czy wiedziałaś, że Gregson jest rozwiedziony? I to dwukrotnie. Monty mi powiedział.

- Monty to stary plotkarz.

- Ostatecznie jest redaktorem kroniki towarzyskiej w poczytnym dzienniku. Plotki to jego specjalność.

Daisy wzruszyła ramionami. Dwukrotnie? No cóż, facet, który tak pochopnie się oświadczał...

- Chyba nie sądziłeś, że miałabym ochotę zostać żoną numer

trzy, nieprawdaż?

- Nie... - W głosie Roberta słycać było powątpiewanie.

- Czy wyobrażasz sobie, że pod wpływem chwilowego zauroczenia poślubiłabym zupełnie obcego człowieka?

- To się jednak zdarza. On płaci alimenty dwóm kobietom. I, jak powiedziałaś, jest przystojny. O ile, rzecz jasna, lubisz mięśniaków.

Skrzyżowawszy ramiona, stał oparty o futrynę kuchennych drzwi. Ta niedbała poza oraz arogancja, jaką dosłyszała w jego głosie, doprowadziły Daisy do furii.

- Może się zdziwisz, Robercie, ale niektórym potrzeba czegoś więcej niż seksu! Zdaję sobie, oczywiście, sprawę, że Nick nie znajdował się na twojej liście mężczyzn, którzy mają prawo odprowadzić mnie do domu. Bałeś się, że nie złożysz ci raportu? - Robert nic nie powiedział, ale zauważyła, że już nie jest tak rozluźniony jak przed chwilą. - Zresztą, skąd możesz wiedzieć, czy nie miałam ochoty...

- Lepiej nie robić rzeczy, których później przyjdzie nam żałować - stwierdził Robert mentorskim tonem.

- O co ci właściwie chodzi? Ty możesz się zabawiać, ale ja o północy powinnam leżeć w swoim dziewczęcym łóżeczku, czy tak? Otóż nie jestem głupią gęsią...

- O ile pamiętam, ustaliliśmy, że jesteś kaczką. - I zaraz podniósł ręce w charakterystycznym geście poddania. - Michael na moim miejscu zachowałby się dokładnie tak samo.

- Michael jest moim bratem. A tobie co do moich spraw?

- Rany boskie, Daisy! Jeszcze pomyślę, że ten facet naprawdę ci się spodobał.

W głosie Roberta słyhać było prawdziwą urazę. Daisy, która zajmowała się parzeniem kawy, pozwoliła sobie na lekki uśmiech satysfakcji. Nie zachwycił ją sposób, w jaki Robert demonstrował wczoraj swoje zainteresowanie jej osobą, ale sam fakt, że przybył jej na ratunek, zasługiwał na uwagę.

- Wprost przeciwnie, mój drogi - odparła hardo. - Bardziej nie podoba mi się to, że w ogóle mogłeś tak pomyśleć.

- W takim razie przepraszam. - Nadal stała odwrócona do niego plecami, a on mobilizował wszystkie siły, by się nie roześmiać. Gdy Daisy obojętnie wzruszyła ramionami, dodał: - Ale szczerze, wybaczyłaś mi?

- Tym razem jeszcze tak - przyznała z pewną niechęcią. Kaczka, dobre sobie!

- Naprawdę chcę cię przeprosić za wczorajszy wieczór. Obawiam się, że cię nie doceniałem, traktowałem twoją obecność w moim życiu jako coś oczywistego...

Odwróciła się i spojrzała z powagą w jego piękne jasno-brązowe oczy.

- To prawda, Robercie. Ale tylko dlatego, że ci na to pozwalałam.

Zapadła cisza, podczas której Robert najwyraźniej przeżuwał tę uwagę.

- Co zjesz na śniadanie? - spytała, by przerwać kłopotliwą ciszę.

Przez moment stał zupełnie bez ruchu, tylko pomiędzy jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Potem odwrócił się i otworzył drzwi lodówki.

- Szkoda, aby bekon się zmarnował - powiedział, ale zaraz dodał ze zdziwieniem: - Ale tu nie ma bekonu...

- Nie ma - przyznała.

- Nie zamierzałaś nakarmić mnie wczoraj wieczorem, prawda?

- Nie sądziłam, że mówisz serio - przyznała. - Jajecznicą? - zaproponowała, i nie czekając na jego odpowiedź, wyjęła jajka z lodówki.

- Daisy...

Wbiła jajka do miseczki.

- Wyjmij talerze z szafki, dobrze? - poprosiła, zaczynając roztrzepywać jajka.

Znalazł talerze oraz sztucce i położył na kuchennym stole.

- Daisy, czy mogę cię o coś zapytać?

- Możesz włożyć chleb do tosterka? - odparła. Przeczynała, o co chciał zapytać. Na pewno zastanawiał się, jak spędzała wolny czas. I cóż miałyby odpowiedzieć? Że zgłębiała tajemnice ceramiki orientalnej? Że dużo czytała i oglądała głupie programy telewizyjne? Owszem, prowadziła również dość ożywione życie towarzyskie. Ale Robert zapewne chciał porozmawiać na zupełnie inne tematy, bardziej osobiste. Dziwne, że tak nagle się tym zainteresował... - Chleb jest tam - ponagliła go, gdy zamarł bez ruchu. - W pojemniku.

- Dobrze. - W końcu jej posłuchał.

Podniosła wzrok znad miseczki z jajkami, zdziwiona tak łatwym zwycięstwem.

Daisy zleciła Robertowi pozmywanie naczyń, sama zaś weszła pod prysznic. Potem zaplotła wilgotne jeszcze włosy we francuski warkocz i ubrała się w prostą, szarą spódnice, która nie powinna pognieść się w samochodzie. Do małej torby zapakowała dzinsy, podkoszulek i wygodne buty, które będzie mogła założyć po lunchu na spacer z psami. Zabrała też relaksującą sól do kąpieli, kupioną dla matki w prezencie. Rola matki pana młodego nie była co prawda tak stresująca, jak matki panny młodej, ale Daisy miała wrażenie, że sól się przyda.

- Jesteś gotów?

Robert pił kawę i czytał gazetę.

- Jestem gotów od pół godziny - powiedział wstając.

- Jeszcze nawet nie ma dziewiątej. - Ze zniecierpliwieniem potrząsnęła głową. - Lepiej znajdź sobie szybko dziewczynę, w przeciwnym razie niedziele będą ci się niemiłosiernie dłużyć.

- Mam też inne zainteresowania - odparł, ale z jej spojrzenia wyczytał, że nie dała się zwieść. Uśmiechnął się szeroko. - To fakt. Lubię wędkować.

- A kiedy ostatnio wybrałeś się na ryby?

- Nie wiem. - Zastanawiał się nad tym, gdy schodzili po schodach. - Może dwa tygodnie temu? Byłaś ze mną.

- A zatem to musiało być przed Gwiazdką. Na świątecznym przyjęciu poznałeś Janinę, a ja nie byłam na rybach od... - Przerwała, aby wejść do samochodu. Potem zmieniła temat. - Czy chcesz dowiedzieć się czegoś o pozostałych druwnach? - Usiadła na miękkim skórzanym siedzeniu, a Robert zajął miejsce za kierownicą. - Wyobraź sobie, że zamierzały ciągnąć o ciebie losy.

- Losy? Czyżbym miał być nagrodą? - W jego głosie słychać było udawane zdziwienie.

Daisy miała wątpliwości, czy zaskoczenie Roberta jest prawdziwe. Ostatecznie wszyscy mężczyźni są próżni i uwielbiają po-

chlebstwa.

- W końcu zrezygnowały z tego - podjęła i znów zrobiła teatralną pauzę, by zdążyć wydać westchnienie ulgi. - Uznały, że to nie miałyby sensu.

- Czyżby?

Daisy miała starszego brata i doskonale wiedziała, że żaden mężczyzna na świecie nie zdołałby w takiej sytuacji poskromić swojej ciekawości. Uśmiechnęła się z lekko udawaną powagą.

- Oczywiście, bo żadna z nich nie uwierzyła, że pozostałe będą grały fair.

- Wymyśliłaś to sobie, prawda? - Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

- Myślę, że Diana okaże się w tym względzie najbardziej... - poszukała odpowiedniego określenia - ...pomysłowa.

- Do licha, bawisz się moim kosztem!

- A potem jest Maud - ciągnęła niewzruszenie.

- Maud? Co za słodkie, staroświeckie imię! - Jego głos złagodniał. Daisy zrozumiała, że Robert postanowił podjąć grę.

- Imię słodkiej, staroświeckiej dziewczyny. Takiej, która wierzy w małżeństwo. Ona jest naprawdę ładna, Robercie. Bardzo ładna. I zdaje sobie z tego sprawę. Dobrze zna hotel, w którym odbędzie się przyjęcie i, wyobraź sobie, już wie, gdzie cię zaatakuje. Jest tam

duży, dość posępny ogród zimowy...

- Co za wspaniałe miejsce! Uwielbiam posępne, zimowe ogrody, a ty? - Uniósł pytająco brew. - Są trzy druhny. Co mi przygotowuje numer trzy?

- Jeśli z pierwszej i drugiej pułapki wyjdiesz cało, myślę, że Fiona dopilnuje, abyś się nie nudził.

- Widzę, że dzień zapowiada się interesująco. Dzięki za ostrzeżenie. Po tym wszystkim zaproszę cię na lunch i opowiem ci, jak mi poszło, zgoda?

Nagle zrobiło jej się bardzo przykro. Sama potrafiła żartować z jego dziewczyn, jednak nie chciała o nich słuchać.

- To uroczy pomysł, ale zachowaj te historyjki dla swoich kumpi. Ja jestem na nie o wiele za młoda, nie uważasz?

- Może i masz rację. - Zerknął na nią. - Chociaż Nick Gregson był chyba odmiennego zdania.

- Nick Gregson to w gruncie rzeczy przerośnięty mały chłopiec. Co on może wiedzieć o kobietach?

Dom rodziców Daisy znajdował się w tej samej wsi, w której od czasu rozvodu mieszkała również matka Roberta.

Daisy, nie czekając na pomoc, szybko otworzyła drzwi i wysliznęła się z samochodu.

- Dzięki za podwiezienie. Zobaczymy się w kościele.

Patrzył, jak energicznie maszeruje ścieżką, a potem znika za węglem domu. Zatopiony w myślach, Robert przejechał wolno przez wieś.

Właściwie, ile lat miała Daisy? Znał ją od dziecka. Zawsze kręciła się wokół nich, chodziła za Michaeliem, za nimi obydwoma...

Trochę im przeszkadzała, choć starała się zachowywać jak chłopak. Potem była niezdarną nastolatką... Teraz, mimo upływu lat, wciąż zaplatała włosy w warkocz i nadal nosiła sprane dżinsy i wyciągnięty podkoszulek. Ale wczorajszego wieczoru...

- Witaj, Robercie! - Matka wracała właśnie ze spaceru ze swoim ukochanym starym labradorem, który na widok Roberta radośnie zamachał ogonem.

- Spokojnie, Major! - Robert podrapał psa za uchem, a matkę pocałował w policzek.

Razem przeszli wokół domu do tylnego wejścia.

- Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie - powiedziała pani Furneal, wkładając naręcze modrzewiowych gałązek do starego, kamiennego zlewu. Potem pochyliła się, aby wytrzeć ścierką łapy psu.

- Podwiozłem Daisy.

- To miło mieć w drodze towarzystwo. - Umilkła na chwilę, po minucie wznowiła konwersację: - Podaj mi ten dzbanek, kochanie i nalej Majorowi wody do miski. - Gdy Robert wykonał polecenie, cią-

gnęła: - Nie widziałam Daisy od wielu tygodni. Co u niej słyszeć?

- Denerwuje się z powodu ślubu Ginny. W ostatniej chwili okazało się, że musi zastąpić jedną z druhen.

- Wspominała mi o tym jej matka. Oczywiście, Margaret jest zachwycona.

- Margaret mogłaby więcej uwagi poświęcić uczuciom swojej córki. Daisy nienawidzi samej myśli o tym występie.

- Naprawdę? To dziwne. Większość dziewcząt uwielbia wkładać nowe suknie i być w centrum zainteresowania.

- Znasz Daisy. Ona nie lubi się stroić... chociaż na przyjęciu u Monty'ego wyglądała całkiem ładnie... - Myśl, że Daisy mogłaby zacząć spotykać się z kimś na stałe, z niewiadomych powodów przyprowadziła go o ból głowy. Flirtowała z Gregsonem, ale w gruncie rzeczy niewiele ją obeszło, że został sam na chodniku... Robert w zamyśleniu zmarszczył brwi. Takie zachowanie zupełnie nie pasowało do Daisy.

- Nie wiedziałam, że tak często się widujecie - skomentowała matka, ustawiając dzbanek z gałązkami na parapecie.

- Czasami jadamy razem lunch. - Ale co robiła, gdy była sama? Nigdy mu o sobie nie opowiadała. Potrafiła natomiast cierpliwie słuchać. Może powinien wziąć z niej przykład? Zwłaszcza jeśli chciał się czegoś dowiedzieć o jej życiu osobistym. - Zabrałem ją wczoraj

wieczorem na przyjęcie do Monty'ego Sheringhama. - Wzruszył lekko ramionami, gdy wyczuł, że matka bacznie mu się przygląda. - I tak się tam wybierała - dodał zupełnie niepotrzebnie, bo przecież nie miał się z czego tłumaczyć.

- Rozumiem, że Janinę to już stare dzieje?

- Odeszła ode mnie - wyjaśnił. - Ona szuka męża, chce założyć rodzinę. Pragnie usłyszeć sakramentalne: „Dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

- A tego wszystkiego ty nie mogłeś jej dać.

- Szczęśliwy ten, kto zna swoje ograniczenia.

- Czasami myślę, że w powiedzeniu: „ignorancja - kluczem do szczęścia” jest sporo racji. Niekiedy żałuję, że dowiedziałam się o miłosnych przygodach twojego ojca. Gdybym żyła w nieświadomości, prawdopodobnie nadal byłabym szczęśliwą mężatką.

- Żyłabyś w kłamstwie?

- W mniejszym lub większym stopniu wszyscy żyjemy w kłamstwie, kochanie. Ty, na przykład, pozwalasz na to, by młode kobiety, które się w tobie zakochują, miały nadzieję, że zaciągną cię przed ołtarz.

- Zawsze jasno przedstawiam swoje poglądy na temat małżeństwa, nikogo nie zwodzę płónnymi obietnicami - zaprotestował.

- Ale dziewczyny ci nie wierzą. I ty wiesz, że one nie traktują

twoich zapewnień serio. - Wzruszyła ramionami. - Wszystkie wolą udawać, że nie interesuje ich małżeństwo. Każda liczy, że przekona cię do zmiany zdania.

- To bardzo cyniczne.

- Ale prawdziwe. Zaparz kawę, a ja wezmę w tym czasie prysznic, dobrze?

- Mamo... - Gdy matka zatrzymała się, odważył się spytać: - Nigdy nie przestałaś go kochać, prawda?

- Twojego ojca? Widziałeś go ostatnio? - Jej pojaśniała twarz była wystarczającą odpowiedzią na pytanie.

- Zadzwoił do mnie, chciał pogadać, umówiliśmy się na lunch. Pytał o ciebie. Zawsze o ciebie pyta.

- Czyżby się zestarzał i przestał interesować młódkami? -

Zbliżyła się i położyła Robertowi dłoń na ramieniu. - Nie jesteś do niego podobny, wiesz o tym?

- Wprost przeciwnie. Gdy go widzę, mam wrażenie, że widzę siebie za trzydzieści lat.

- Wygląd o niczym nie świadczy. Liczy się to, co jest w środku. Ale oczywiście masz rację. Nigdy nie przestałam go kochać.

- A więc, dlaczego po prostu nie przymknęłaś oczu na jego grzeszki?

- I kto tu jest cyniczny? - Pokręciła głową. - Gdybym potrafiła

zignorować pewne fakty, na pewno bym to zrobiła. Zarówno dla własnego dobra, jak i ze względu na ciebie. Ale od kiedy przejrzałam na oczy, nie umiem już się oszukiwać.

- Musisz bardziej o siebie zadbać, Daisy. - Jej matka pokręciła głową i skrzywiła się z dezaprobatą. - Naprawdę cię nie obchodzi, jakie zrobisz wrażenie? Powinnaś wziąć przykład ze swojej siostry... Sarah i jej mąż siedzieli nieruchomo w salonie i pilnowali, aby ich wytwornie ubrane dzieci nie pobrudziły się przed wyjściem.

- Idziemy tylko do kościoła, mamo, a nie na rewię mody - odparła Daisy. - Pomóc ci w kuchni?

- Pani Banks wszystko przygotowała. Chodź na górę, zobaczę, co da się zrobić z twoimi włosami.

Daisy rzuciła ojcu spojrzenie pełne niemego błagania. David Galbraith przestąpił z nogi na nogę, chrząknął i zerknął na zegarek.

- Myślę, że pójdę porozmawiać z Andrew.

Pani Galbraith zbyła tę uwagę zniecierpliwionym machnięciem ręki i zaciągnęła Daisy na górę, po czym zaczęła krążyć wokół niej jak wygłodniały rekin.

Dwadzieścia minut później Margaret Galbraith musiała przyznać się do porażki. Daisy spokojnie zaplotła włosy we francuski warkocz.

- Oczywiście, to wina twojego ojca - obwieściła Margaret ze złośliwym uśmiechem.

- Co jest winą ojca?

- Cała jego rodzina ma takie okropne włosy. Michael i Sarah na szczęście odziedziczyli włosy po mnie, ale ty... - Westchnęła. - Koniecznie coś trzeba będzie z nimi zrobić przed ślubem.

- Dobrze, mamó - odpowiedziała Daisy potulnie. - Ginny skontaktowała mnie ze swoim fryzjerem. Przyjdzie tu w dzień ślubu i będzie wszystkich czesał, ale chcę zobaczyć się z nim wcześniej, żeby wiedział, co go czeka. Umówiłam się z nim na poniedziałek rano.

- Na początek dobre i to. - Jednak Margaret Galbraith nie była do końca przekonana. Z niezadowoleniem patrzyła na swoją młodszą córkę, ubraną w prostą, szarą spódnicę. W końcu powiedziała: - Jeszcze nie jest za późno, aby się przebrać. Ta spódnica jest w okropnym kolorze i o wiele za długa. Mam wspaniały różowy kostiumik. Będzie leżał, jak ulał.

Różowy, żółty... Jeszcze tylko garść orzechów i trochę sosu czekoladowego, a będę wyglądać jak ogromny deser lodowy...

- Wystarczy, że zmusiłaś mnie do ubrania się w strój drużyny, mamó - odparła twardo. - Czy możemy już o tym nie rozmawiać?

Widać było, że pani Galbraith stara się za wszelką cenę utrzy-

mać język na wodzy. Potem lekceważąco wzruszyła ramionami.

- Jakie są te suknie? To znaczy suknie drухen?

- Śliczne! - zakpiła Daisy. Chociaż właściwie była to prawda, gdyby patrzeć z punktu widzenia ognistej brunetki obdarzonej imponującym biustem... Może powinna, tak jak zasugerował Robert, założyć stanik podnoszący biust?

Matkę na długo pochłonał opis sukni, potem nadszedł Michael i w końcu Margaret Galbraith zeszła na dół.

- Cześć, siostró. - Michael uściskał Daisy i uśmiechnął się lekko kpiąco. - Dzięki za zastępstwo. - Z jego twarzy można było wyczytać, że zdawał sobie sprawę z poświęcenia siostry.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odpowiedziała Daisy bohatercko. - A gdzie Ginny?

- Zawiozłem ją do domu. Przyjedzie do kościoła z rodzicami. - Uśmiechnął się radośnie. - Wszystko idzie jak z płatka. A co u ciebie? Nadal sama?

- Na wczorajszym przyjęciu poderwałam wspaniałego faceta - pochwaliła się na przekór prawdzie. - Wysokiego, opalonego Australijczyka. Mamie bardzo by się spodobał. Ale Robertowi nie przypadł do gustu i beczelnie go spławił.

Michael uniósł brwi.

- Okazało się, że był już dwa razy żonaty - pospieszyła z wyja-

śnieniem.

- Och, rozumiem. Robert zawsze zachowywał się w stosunku do ciebie bardzo opiekuńczo.

- Naprawdę? - Daisy się zarumieniła. Miała niejasne wrażenie, że Michael był jedynym człowiekiem na świecie, który domyślał się, co czuła do Roberta. - Sam nie ma młodszej siostry, której mógłby rozkazywać - dodała. - A ty zawsze wszystkim się z nim dzieliłaś, prawda?

- Nie wszystkim. - Michael skrzywił się lekko. - Jeśli postanowi założyć rodzinę, będzie musiał znaleźć sobie własną żonę.

- On nie chce mieć żony.

- Tylko tak mówi. Nie spotkał jeszcze odpowiedniej kobiety.

- Rozumiem. Stosuje tę wymówkę, by się usprawiedliwić, że tak często zmienia dziewczyny.

Michael roześmiał się wymownie, a Daisy poszła jego śladem. Tylko mocne przekonanie, że Robert naprawdę nie chce się żenić, pozwalało jej w miarę bezboleśnie znosić jego liczne związki. Miała świadomość, że i tak na zawsze zostaną przyjaciółmi. Nagle jednak ogarnęły ją wątpliwości. Z wrażenia zabrakło jej tchu. Może Michael miał rację? Co będzie, jeśli pewnego dnia Robert po prostu zniknie na pewien czas i wróci już jako szczęśliwy małżonek?

- Pora wychodzić. - Margaret Galbraith wyłoniła się z kuchni,

zakładając rękawiczki. - Daisy, kochanie, może weźmiesz kapelusz?

- Och, nie, mamo.

- Wielka szkoda. Gdy ma się takie rozwichrzone włosy, należy je ukryć. Znajdę ci coś...

Daisy natychmiast wróciła do rzeczywistości. Zerknęła porozumiewawczo na Michaela i, zanim jej matka zdążyła wygrzebać z szafy jakieś okropieństwo, wzięła brata pod ramię i pociągnęła w stronę frontowej furtki.

- Daisy!

Daisy puściła ramię Michaela i odwróciła się, słysząc głos Jennifer Furneal. Starsza kobieta pocałowała ją w policzek i razem ruszyły do kościoła. Michael dołączył do idącego z tyłu Roberta.

- Cieszę się, że cię widzę, Jennifer.

- Ja również. Robert powiedział mi, że przyjechaliście razem. Nie masz własnego samochodu?

- W Londynie nie jest mi potrzebny. Ale jeśli przyjdzie mi częściej jeździć na aukcje, trzeba będzie o tym pomyśleć.

- George zrzucił ten obowiązek na ciebie, nieprawdaż?

- W przyszłym tygodniu jadę na aukcję do posiadłości w Wye Valley. Wystawiono tam bardzo interesującą kolekcję ceramiki orientalnej. Może też się wybierzesz?

- Niestety, nie mogę. Choć jest tam waza w stylu imari, która

mi się szczególnie podoba. Ale licytacja przez telefon, tylko na podstawie fotografii, to rzecz wielce ryzykowna.

- Mogę ją obejrzeć i zadzwonić do ciebie. Jeśli mi zaufasz, włączę się w twoim imieniu do licytacji. Dowiedziałam się właśnie, że zawdzięczam ci pracę, mam zatem wobec ciebie dług wdzięczności.

Jennifer skwitowała tę uwagę śmiechem.

- Nonsens, moja droga. To George'owi oddałam przysługę, a nie tobie. Jak on się miewa?

- No i jak tam, Robercie, podobno kolejna dziewczyna poszła w odstawkę? Choć, jak wieść niesie, tym razem to ty zostałeś porzucony.

- Janinę? - Robert wzruszył ramionami, maskując narastającą irytację. Dlaczego, u diabła, zamiast mu współczuć, wszyscy stroili sobie z niego żarty. - To było nieuniknione. Ona jest naprawdę śliczna, ale doszła do takiego momentu w życiu, w którym kobiety coraz częściej zaczynają marzyć o domku z ogródkiem i dzieciach.

- A więc...? - Michael uśmiechnął się dwuznacznie.

- A ja nie jestem jeszcze gotów. Słuchaj - zmienił szybko temat - niepokoję się trochę o Daisy... - Nie miał ochoty rozmawiać o Janinę, która za kilka dni przejdzie do historii.

- Daisy? A co się stało?

- Nie jestem pewien... Ona nigdy wiele o sobie nie mówi, za-

uważyłeś to? Większość dziewcząt papie bez przerwy. Opowiadają, gdzie były i co widziały. - Spojrzał przed siebie. Daisy spokojnie rozmawiała z jego matką, ale na pewno rozmowa dotyczyła porcelany, która była ich wspólną pasją. - Zawsze była taka skryta, czy to coś nowego?

- Widujesz ją równie często, jak ja - odpowiedział Michael. Zostali nieco z tyłu i nagle Michael przystanął. - Ale co konkretnie cię niepokoi, Robercie?

Gdybyż to wiedział!

- Sam nie wiem... Wczoraj wieczorem zabrałem ją na przyjęcie do Monty'ego Sheringhama. Myślałem, że najpierw zjemy kolację, ale oświadczyła, że będzie zajęta do dziesiątej. Powiedziana, że pracuje...

- Ale ty jej nie uwierzyłeś?

- Nie wyglądała na kogoś, kto musiał zostać po godzinach. Była dziwnie... ożywiona. Odniosłem wrażenie... Mikę, czy sądzisz, że ona może mieć romans?

- Romans? Co za słodkie staroświeckie słowo! Rozumiem, że chodzi ci o romans z żonatym mężczyzną? - Michael wybuchnął szczerym śmiechem. - Daisy? Chyba oszalałeś!

- Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale zastanów się. Gdyby ten facet nie był żonaty, na pewno przyprowadziłaby go na

przyjęcie.

- Robercie... - Michael mu przerwał, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili potrząsnął głową i ruszył naprzód.

- Ty coś wiesz, prawda? - Robert pospieszył za nim. Miał ochotę chwycić przyjaciela za gardło i wydusić z niego tę informację. - Powiedz mi, proszę... - Nagle zdał sobie sprawę, że Michael wpatruje się w niego ze zdumieniem. Włożył ręce do kieszeni i ruszył w stronę kościoła. - Widzisz, Mike, ona zawsze przy mnie była... Nie chcę, by popełniła jakiś błąd, który zrujnuje jej życie.

- Oczywiście, masz rację, Robercie. - Michael zrównał się z nim. - No dobrze, powiem ci prawdę. Daisy od dłuższego czasu jest zakochana w pewnym mężczyźnie, ale wygląda na to, że małżeństwo z nim nie wchodzi w grę.

- Zakochana? - Nie odrywał od Daisy oczu. Stała teraz w grupie ludzi przy bramie kościoła i śmiała się z czegoś, co mówiła jego matka. W promieniach wiosennego słońca kosmyki jej włosów, które wymykały się z warkocza, tworzyły wokół głowy świetlistą aureolę. Słyszając jej perlisty śmiech, poczuł ostre ukłucie zazdrości, że istnieje mężczyzna, któremu oddała serce. - Kto to jest? - zapytał szorstko.

- Nie sądzę, by chciała, żebym ci powiedział.

- Dlaczego? Co to za tajemnica? - Pochylił się ku Michaelowi. - A więc miałem rację! On jest żonaty, prawda?

- Posłuchaj, zapomnij o tym, Robercie. Nie powinienem nic mówić. - Mike był bardzo zmieszany. - Daisy jest już wystarczająco dorosła, aby sama podejmować decyzje. - Wzruszył ramionami. - A czy będą właściwe...

- On jest żonaty - upierał się Robert. Doskonale znał ten typ. Facet wymyśla historyjki o chorej żonie, uzależnionej od leków albo alkoholu... W rzeczywistości jednak w ogóle nie ma zamiaru występować o rozwód. - Tak, wiedziałem, że w sobotę wieczorem ktoś u niej był - powiedział cicho.

- Daisy opowiadała mi o opalonym Australijczyku. - Michael znalazł wreszcie możliwość zmiany tematu. - Miała nadzieję, że zaprosi go na wesele, by sprawić przyjemność matce.

Robert nie mógł uwierzyć, że Michael mógł o tym wszystkim mówić tak obojętnie. Oczywiście, nie dał się zwieść uwagą o dwukrotnie żonatym Australijczyku.

- Nie mogę uwierzyć, że traktujesz to tak niefrasobliwie! Chodzi o twoją siostrę, na litość boską! Powinieneś coś zrobić...

- Ona nie potrzebuje niańki, Robercie. Doskonale wie, co robi. - Zerknął na przyjaciela. - Zawsze wiedziała.

- Jak możesz tak mówić! - wybuchnął Robert. - To jeszcze nie-doświadczone dziecko, które łatwo zranić!

- To dorosła kobieta, Rob. Ma dwadzieścia cztery lata.

- Dwadzieścia cztery? A tak niedawno była niemowlakiem...

- Gdy ty miałeś siedem lat. Przypominam ci, że niedługo skończysz trzydzieści jeden. Jesteś moim rówieśnikiem.

- Dwadzieścia cztery? - powtórzył Robert. - Wielki Boże! Nadal jest jednak twoją młodszą siostrą, Mike. Rozmawiałeś z nią o tym facecie?

- Nie. Nigdy o tym nie rozmawiamy. I nie waż się przyznać, że cokolwiek wiesz.

- Dlaczego?

- Zaufaj mi, Robertcie. Wiem, o czym mówię. - Zerknął na przyjaciela z ukosa. - Nie powiesz jej o tej rozmowie, prawda?

- Nie powiem ani słowa. - Był dziwnie urażony, że Daisy nie jemu się zwierzyła. On przecież opowiadał jej o wszystkim... - Jednak nie mogę ci obiecać, że nic nie zrobię w tej sprawie.

- Co masz na myśli?

- Dowiem się, kto to jest, a potem pokażę mu, gdzie raki zimują. Masz jakieś obiekcje?

Michael potrząsnął głową, a Robert mógłby przysiąc, że przyjaciel tylko z najwyższym trudem zachował powagę.

- Żadnych, szlachetny rycerzu. Szczerze mówiąc, będę ogromnie ciekaw postępów w śledztwie.

- To wcale nie jest śmieszne, Mike. - Daisy była jego prawdzi-

wą przyjaciółką. Stała przy nim zawsze, pocieszała go, gdy tego potrzebował. W dodatku była jedyną dziewczyną, w obecności której można było pomilczeć.

W jej towarzystwie czuł się zawsze jak odrodzony, i dlatego nie miał zamiaru przyglądać się beczynnemu, jak jakiś łajdak łamie jej serce!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Niedziela, dwudziesty szósty marca. Nigdy nie widziałam Michaela równie szczęśliwego. Cały czas miał na twarzy lekko głupkowaty i niezbyt przytomny uśmiech. Można by pomyśleć, że jest pierwszym facetem na świecie, który się zakochał. Jeśli samo czytanie zapowiedzi tak na niego działa, to Bóg jeden wie, co będzie wyprawiał podczas ślubu. Ginny naprawdę ma szczęście.

Robert natomiast zachowuje się bardzo dziwnie. Zupełnie, jakby nie chciał ani na chwilę stracić mnie z oczu... Naprawdę dziwnie.

- O której chcesz wracać? - spytała Daisy.

Michael i Ginny wyjechali od razu po lunchu, a zaraz po nich reszta towarzystwa. Wydawało się, że Robert nie spieszy się do Londynu. Razem z matką zostali zaproszeni na lunch i Robert siedział teraz wygodnie przed kominkiem, gawędząc z ojcem Daisy.

- Nie ma pośpiechu – odpowiedział. Spojrzał na Daisy badawczo i dodał po chwili: - A może...?

- Nie - powiedziała szybko. - Zastanawiałam się tylko, czy przed wyjazdem zdążę zabrać Flossie na spacer. - Spanielka, słysząc swoje imię, podniosła łeb, a Daisy podrapała ją za uchem. - Gdy wrócę, zaparzę herbatę.

- Poczekaj, pójdę z tobą.

- Nie musisz... - Zignorowała nagłe bicie serca wywołane tą propozycją. Bohatersko udawała, że wcale nie zależy jej na towarzystwie Roberta. Ale nie było to łatwe.

- Wprost przeciwnie - przerwał, nim zdążyła uświadomić mu, że nie jest odpowiednio ubrany na spacer. - Muszę się trochę rozruszać, żebym nie obrósł sadłem. Jestem łakomy, a twoja matka wspaniale gotuje.

Daisy z niedowierzaniem uniosła brwi, a on tymczasem wstał. Patrząc na jego rozłożyste ramiona, wąskie biodra i smukłą sylwetkę pomyślała, że Robert wcale nie potrzebuje ćwiczeń fizycznych, by zachować dobrą figurę.

Zauważył jej spojrzenie i wzruszył ramionami.

- Chyba nie sądzisz, że opychanie się szarlotką pomaga mi w utrzymaniu dobrej formy? Trzeba pamiętać o równowadze między zjadanymi i spalonymi kaloriami.

- No cóż, jeśli traktujesz spacer w moim towarzystwie jako karę za obżarstwo, to proszę bardzo. Poproś tatę, żeby ci pożyczył kalosze - dodała z taką nonszalancją, na jaką tylko udało jej się zdobyć. A było jej coraz trudniej. Może dlatego, że Michael i Ginny tak jawnie obnosili się ze swoim szczęściem... A może dlatego, że z upływem lat traciła nadzieję na ułożenie sobie życia. Robert był niedostępny, a Daisy nie zamierzała wychodzić za mąż za nikogo innego.

Margaret Galbraith wsunęła głowę do pokoju.

- Czy możemy teraz zasiąść do herbatki? Och, już wyjeżdżacie?

- Nie, mamó. Zabieram na razie Flossie na spacer. Odpocznij sobie, a my po powrocie przygotujemy herbatę. Robert mi pomoże.

- Naprawdę? - spytał zaskoczony.

- Musisz spalić trochę kalorii, nie pamiętasz?

- Ale nie idźcie za daleko - poradziła matka. - Za chwilę może się rozpadać.

- Zaopiekuję się Daisy. - Niespodziewanie położył rękę na jej ramieniu. - Chodźmy, Flossie - powiedział. - Spacer! - Flossie nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Przez chwilę szli w milczeniu ścieżką wzdłuż rzeki, a Flossie biegła przodem, płosząc bażanty.

- Nadal jesteś wściekła, że położyłem kres twojej znajomości z Nickiem? - spytał wreszcie.

- Nie bądź głupi, Robercie - obruszyła się.

- To dlaczego przez cały dzień mnie unikałaś?

- Byłam zajęta. A jeśli chcesz wiedzieć, flirtowałam z Nickiem tylko dlatego, że miałam nadzieję, iż uda mi się zaprosić go na wesele jako swego chłopaka. Niestety, wraca we wtorek do Australii.

- Trzy dni to wystarczająco długo, by kogoś poznać.

- Mnie wystarczyły trzy godziny, by się zorientować, że Nick Gregson nie jest w moim typie. W ogóle, zapraszanie mężczyzn na imprezy przysparza samych kłopotów. Wszyscy od razu wyobrażają sobie, że to taka forma podrywu.

- Równouprawnienie, jak widzisz, ma swoje dobre i złe strony.

Gdy przystanął na chwilę, odwróciła się szybko, ponieważ była pewna, że się z niej śmieje. Ale jego twarz na tle ciemnych, deszczowych chmur wydawała się skupiona i bardzo poważna.

- A czy ja nadawałbym się na twojego chłopaka? - zapytał niespodziewanie.

Serce jej podskoczyło, puls przyspieszył, ale zdołała się opanować i wykrztusić:

- Nie, Robercie. Nie nadawałbyś się. Moja matka nie potraktowałaby cię poważnie.

- Twoja matka? - Wybuchnął śmiechem. - Och, rozumiem!

- Właśnie! Nigdy byś jej nie przekonał, że jesteś dobrym materiałem na męża.

Nic nie powiedział i przez chwilę znów maszerowali w milczeniu.

- Właściwie moglibyśmy zostać na noc i wrócić do Londynu jutro rano - odezwał się w końcu. - Wieczorem wpadlibyśmy do pubu...

Przez chwilę miała ochotę ulec pokusie.

- Przykro mi, Robercie, ale muszę być dziś wieczorem w Londynie.

- Tylko tak sobie głośno myślałem - wycofał się szybko. - Wychodzisz gdzieś dzisiaj?

Daisy zerknęła na niego z zainteresowaniem. Nigdy dotąd nie pytał, co zamierzała robić. Patrzył teraz w zamyśleniu wprost przed siebie. Trudno było zgadnąć, co też mu chodzi po głowie.

- Jutro rano muszę bardzo wcześnie wstać, to wszystko - wyjaśniła.

- Nigdy nie uważałem George'a za poganiacza niewolników, ale najpierw zmusił cię do pracy w sobotę wieczorem, a teraz chce, byś

przychodziła w poniedziałek o świcie. Może powinienem porozmawiać z nim o kodeksie pracy?

- Nie idę do pracy - zaprotestowała. - Umówiłam się z fryzjerem, który będzie nas czesać w dniu ślubu. Poniedziałek, ósma rano, to był jedyny termin, jaki nam obojgu odpowiadał. Potem idę na ostatnią przymiarzkę sukni. Tak więc w porze lunchu również jestem zajęta.

- Rozumiem. - Spojrzał na nią z góry i uśmiechnął się.

- Zamierzasz przystrzyc sobie piórka, nieprawdaż?

- Nie wiem. Cała nadzieja w tym, że to naprawdę dobry fryzjer. Ma za zadanie okiełznać moje włosy na tyle, by można było wpiąć w nie stroik.

- Twoje włosy wyglądały bardzo ładnie w sobotni wieczór - zauważył mimochodem. - Częściej powinnaś je rozpuszczać.

Daisy udało się nie upaść z wrażenia tylko dlatego że Flossie wybrała sobie właśnie ten moment, aby rzucić się w zarośla w pogoni za kaczką. Daisy skorzystała z okazji i pobiegła zaraz za psem, unikając w ten sposób konieczności skomentowania słów Roberta.

Zanim złapała Flossie i wyciągnęła ją z zarośli oraz sprawdziła, czy kaczka wyszła z tego spotkania bez szwanku, włosy całkiem jej się rozplotły i naprawdę trudno było powiedzieć, że wyglądają ładnie.

Gdy usiłowała doprowadzić do porządku potargane kosmyki, Robert uświadomił sobie, że zawsze ochoczo żartowała ze swego wyglądu, jakby chciała uprzedzić wszelkie ewentualne uwagi innych osób. Czyniła tak, by chronić się przed ustawicznymi porównaniami ze starszą siostrą, w jakich celowała jej matka. Robert często zżymał się z tego powodu. Sarah była atrakcyjna, ale jej uroda należała do banalnych, a poza tym za dużo mówiła i, w przeciwieństwie do Daisy, nie potrafiła słuchać innych.

Zawsze uważał Daisy za silną osobę, ale przecież każdy ma swoje słabości... Jeśli teraz jakiś podstępny mężczyzna, pozbawiony zasad moralnych, wykorzysta jej brak pewności siebie, Daisy nie wyjdzie z tej przygody bez uszczerbku.

- Chyba nie masz nic przeciw temu, byśmy wrócili dziś wieczorem? - spytała po chwili.

- Nie, oczywiście, że nie. - Czy naprawdę musiała jutro wczesnie wstać, czy raczej zamierzała spędzić dzisiejszą noc z tajemniczym kochankiem? - Wreszcie zrozumiałem, czego najbardziej brakuje mi w Londynie... - Zatrzymał się, gdy dotarli do ścieżki wijącej się wzdłuż brzegu rzeki. - Wydaje mi się, że najpiękniejsze chwile swego życia spędziłem właśnie tutaj, nad tą wodą. Pamiętasz, jak Mike włożył kij w gniazdo os, a one usadowiły ci się we włosach?

- Tak, to było rzeczywiście zabawne. Zwłaszcza że wrzuciłeś

mnie do rzeki, by mnie nie uządliły.

- Ale szybko cię wyciągnąłem.

- Owszem, i wyciągnąłeś też z moich włosów zmoknięte osy, które natychmiast cię zaatakowały. - Ujęła go za dłoń. - Miałeś wtedy takie spuchnięte i czerwone palce. - Poglądziła kciukiem bliznę na jego ręce. - A to pamiątka po psie Billa Pemberton. - Podniosła na niego wzrok. - Sprawiałam wiele kłopotów, prawda?

- Mnóstwo - przyznał. - Znosiliśmy cię tylko dlatego, że zawsze zabierałaś coś do jedzenia.

- Wiedziałam, że nie odeślecie mnie do domu, jeśli przyniosę kanapki.

Miała sześć lat, a już wiedziała, jak najłatwiej zdobyć serce mężczyzny, pomyślał.

- Może powinniśmy przyjechać tu w przyszły weekend? Jeśli zabierzesz jedzenie, ja załatwię robaki. - A gdy nie podchwyciła tego pomysłu, dodał: - Oczywiście, jeśli znów nie musisz do późna pracować...

- Nie jestem pewna. Cały tydzień będę bardzo zajęta. Wyjeżdżam na dwa dni na aukcję.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Gdzie będzie ta aukcja?

- W Wye Valley - powiedziała, zadowolona ze zmiany tematu. -

Być może będę również licytować w imieniu twojej matki. Wystawiają tam naczynie w stylu imari, które chciałyby mieć, a sama nie może pojechać.

- Naprawdę? - Nigdy nie interesował się zbytnio tym, co robiła w galerii. Pamiętał, że to jego matka poleciła Daisy George'owi Latimerowi, gdy ten szukał asystentki. Z tego, co Daisy opowiadała o swojej pracy, wywnioskował, że całe dni spędzała, odbierając telefony, parząc herbatę i odkurzając eksponaty. - To brzmi interesująco - powiedział z zadumą w głosie.

- Prawdę mówiąc, jestem trochę zdenerwowana. George po raz pierwszy wysłała mnie samą.

Zadrżała lekko. Nerwy, pomyślał Robert. Raczej nerwy niż temperatura. Włożył ręce do kieszeni i wysunął łokieć, oferując Daisy ramię.

- Weź mnie pod rękę - zaproponował serdecznie. - Będzie ci cieplej.

Po chwili wahania posłuchała go. A cóż to za ceregiele? - zastanawiał się Robert. Czyżby to też był wpływ jej tajemniczego kochanka? Na myśl o Daisy leżącej w ramionach nieznanego mężczyzny poczuł dziwne ściskanie w dołku. Mocniej przycisnął jej ramię do swego boku, jakby chciał ją zatrzymać, dać jej poczucie bezpieczeństwa.

- Myślę, że pora wracać - powiedziała. - Flossie! Chodź tutaj! - I nim zdążył ją powstrzymać, wyzwoliła ramię z jego uścisku. - Ścigamy się! - zawołała. - Przegrywający wyciera psa!

Z tyłu nadal wyglądała jak mała dziewczynka, którą tak dobrze pamiętał. Ale teraz już wiedział, że było to tylko złudzenie. Daisy Galbraith, choć nadal zaplatała włosy w warkocz, z pewnością nie była już małą siostrą Michaela.

Gdy dojeżdżali do mieszkania Daisy, dochodziła ósma.

- Jestem ci wdzięczna za podwiezienie, Robercie - powiedziała i nie czekając, aż otworzy jej drzwi, wyskoczyła z samochodu.

Robert zignorował tę wyraźną sugestię, że powinien ją już uwolnić od swego towarzystwa. Przypominał sobie, że ilekroć usiłował skierować rozmowę na jej temat, Daisy opowiadała mu o swoim komputerze.

- Wystarczająco wdzięczna, by mi pokazać swój komputer? - zapytał podstępnie.

Popatrzyła na niego tak, jakby całkiem oszalał.

- Nie masz ich dość w banku?

- To nie to samo. Moja matka rozważa ostatnio pomysł kupna komputera. Chce podłączyć się do Internetu i zainstalować pocztę elektroniczną, co oczywiście ułatwi jej kontakt z zagranicą. Mam jej

doradzić przy zakupie, chętnie więc dla porównania zobaczę, na co ty się zdecydowałaś. - Zamknął samochód, ignorując jawne niezadowolenie Daisy. - Oczywiście, nie odmówię filiżanki czekolady - dodał. - I kawałka ciasta. Prawdziwego, nie wirtualnego.

- Wiesz, że nie piekę ciast.

- Mogą być grzanki.

- Poświęcę ci pół godziny - ustąpiła wreszcie. - Ale ani minuty dłużej. Muszę wcześniej pójść spać. Sen to najlepszy kosmetyk - dodała kokieteryjnie.

- Mam zasadę, by nigdy nie przeciwstawiać się kobiecie - odpowiedział lekko, lecz równocześnie pomyślał, że cera Daisy jest wprost nieskazitelna, a włosy, mimo że w nieładzie, były gęste i lśniące. Natomiast nawet najdłuższy sen nie przydałby krągłości jej figurze ani też nie zmniejszyłby nosa. Chociaż, przyglądając jej się uważniej, doszedł do wniosku, że rysy jej twarzy są niezwykle harmonijne. Za duży nos? Przesada...

Sarah była ładna, ale Daisy wydawała mu się bardziej interesująca. Jeśli zaś chodzi o figurę... Cóż, zazwyczaj ukrywała ją pod luźnymi ubraniami.

Gdy tylko weszli do mieszkania, Daisy włączyła komputer i poszła do kuchni.

- Jakie masz hasło? - zawołał Robert.

- Słucham?

- Twoje hasło.

- Lekko zarumieniona pojawiła się w drzwiach kuchni.

- Lepiej sama to zrobię. - Podeszła do biurka i odsunęła Roberta od klawiatury. - Odwróć się. To tajemnica.

- Nie zamierzam włamywać się tu w nocy, by poznać twoje sekrety - zaprotestował.

- Nie o to chodzi - wykręcała się.

- Podam ci moje hasło, gdy ty podasz mi swoje - przekonywał.

W końcu, gdy nie ustępowała, wzruszył ramionami i odwrócił się. Dziwne zachowanie Daisy utwierdziło go w przekonaniu, że hasłem było imię jej kochanka. Nasłuchiwał. Sześć uderzeń... Sześć liter? Imię? Nazwisko?

- W porządku - odezwała się wreszcie. - Możesz spojrzeć. Zobacz, naciskam klawisz i wchodzę do poczty... A tym do Internetu...

- A książka adresowa? - dopytywał się.

- Tutaj. - Kliknęła ikonę i wyświetliła listę. - Popatrz, tak się wchodzi. - Znow kliknęła myszą. - Widzisz? To bardzo proste...

- Daisy, czy przypadkiem nie zostawiłaś mleka na kuchence?!

Spojrzała na niego nieprzytomnie. A gdy dotarły do niej jego słowa, odwróciła się szybko i pobiegła do kuchni. Za nim wróciła z dwoma kubkami czekolady i górą tostów na tacy, wyjął z pudełka

pusztą dyskietkę i skopiował książkę adresową. Potem zajął się buszowaniem po Internecie.

- Ledwie zdążyłam - powiedziała, stawiając tacę na małym stoliku.

- Co?

- Uratować mleko. - Uśmiechnęła się lekko. - No tak, mężczyźni nigdy nie potrafią się oprzeć nowej zabawce.

- Niezła maszyna - przyznał.

Zamknął komputer, a gdy się odwrócił, zobaczył górę grzanek posmarowanych masłem i cienką warstwą marmolady. Kolacja w sam raz dla dzieci.

- Czy już ci ktoś powiedział, że masz zadatki na świętą? - Nie wyglądała na zadowoloną, zresztą wcale się temu nie dziwił. Podobało mu się, że potrafiła sobie stroić żarty zarówno z niego, jak i z siebie. - Lepiej pójdę umyć ręce.

Łazienka pomalowana była na ciemnozielony kolor, a nad umywalką wisiało ogromne, stare lustro w złotej ramie. Wszędzie stały grube, biało-złote świece, a w powietrzu unosił się słaby zapach lawendy. Przez krótką chwilę wyobraził sobie Daisy leżącą w kąpielu - jej skóra w świetle świec musiała wydawać się niemal przezroczysta, a włosy miękkimi, mokrymi lokami opadały na twarz i ramiona. Ta wizja była tak zmysłowa, że, lekko zaszokowany, bezwiednie cofnął

się o krok. Nigdy dotąd nie myślał w ten sposób o Daisy. Nie myślał o niej jak o kobiecie...

Ale przecież jedynym celem jego wizyty było odnalezienie tu śladów obecności mężczyzny. Nie znalazł jednak niczego podejrzanego... Nawet najbardziej ostrożny mężczyzna zostawiłby jakiś ślad. Maszynkę do golenia, szczoteczkę do zębów... Czyż zakochana kobieta nie przechowywałaby pieczołowicie tych drobiazgów?

Istniała jednak możliwość, że kochanek Daisy był zbyt dyskretny, by przychodzić do jej mieszkania. Zaraz, co właściwie powiedział Michael? Tylko tyle, że małżeństwo nie wchodzi w grę.

Co to miało znaczyć, do diabła? Może tajemniczy amant był w separacji? Albo nie mógł się rozwieść w obawie przed skandalem? Robert postanowił, że nie spocznie, dopóki nie pozna całej prawdy.

Dyskietka w kieszeni paliła go jak piętno. Jeszcze chwila, a Daisy zorientuje się, że jej przyjaciel zachował się jak pospolity złodziejaszek.

- Zadzwoń do ciebie w tygodniu - powiedział, zbierając się do wyjścia. - Może zjemy razem kolację?

Ku jego zdziwieniu nie zareagowała na tę propozycję zbyt entuzjastycznie.

- Możemy to odłożyć, Robercie? W tym tygodniu jestem bardzo zajęta.

- Już drugi raz mi odmawiasz. Zaczynam podejrzewać, że coś przede mną ukrywasz.

- Z pewnością, mój ty Sherlocku. - Uśmiechnęła się do niego miło. - Po prostu mam w tym tygodniu aukcję, a poza tym ślub...

Nie mówiąc już o sekretnym romansie, pomyślał. To rzeczywiście pochłania mnóstwo czasu. Trzeba zawsze być w pogotowiu, na wszelki wypadek gdyby ukochany znalazł trochę wolnego czasu. Do licha, ona zasługuje na lepszy los! - zżymał się w duchu.

- Musisz jednak jeść - podkreślił. - A poza tym miałem nadzieję, że podsuniesz mi jakieś pomysły na wieczór kawalerski Michaela.

- Wieczór kawalerski wymaga szczególnych pomysłów? Myślałam, że wystarczą hektolitry alkoholu i seksowne striptizerki. No i latarnia, do której zgodnie ze zwyczajem trzeba przykuć kajdankami narzeczonego.

- Czyżbyś była zwolenniczką tradycji?

- Owszem. - Uśmiechnęła się szeroko. - W przyszłym tygodniu jest również wieczór panieński Ginny i na pewno zorganizujemy wszystko zgodnie z przyjętymi zwyczajami. Mrożone margarity, meksykańskie smakołyki, i oczywiście, wiem to z pewnego źródła, pojawi się Zorro, jeśli nie we własnej osobie, to przynajmniej jego godny naśladowca.

- Jestem pod wrażeniem. - Zrobił wszystko, by udać zdziwienie, ale był pewien, że nie dała się nabrać. - Potem mi wszystko opowiedz, dobrze?

- Jeśli ty opowiesz mi, co działo się na wieczorze kawalerskim Michaela.

- Zgoda.

- Może niekiedy lepiej zostawić więcej pola wyobraźni? - powiedziana rozbawiona, cofając się do drzwi. - Czas na ciebie, Robert. Byłeś dłużej niż pół godziny.

- Czas szybko leci, gdy człowiek dobrze się bawi. - Nachylił się, aby pocałować ją w policzek, ale pod wpływem impulsu musnął jej wargi.

Nic nie powiedziała, popatrzyła tylko na niego, a on utonął w tych ogromnych, ciemnych źrenicach; jakby pogrążył się w dziwnym śnie, w którym wszystko wymykało mu się z rąk, było poza zasięgiem. I całkiem nieoczekiwanie, ze zdziwieniem zrozumiał, że toczy wewnętrzną walkę z rozpaczliwym pragnieniem wzięcia jej w ramiona i pocałowania tak, jak powinna być całowana - z pasją i żarliwie, a nie potajemnie i w pośpiechu, jak czynił to zapewne jej kochanek.

I po raz drugi tego wieczoru Robert gwałtownie cofnął się o krok.

Daisy zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Drżała tak

mocno, że prawie nie mogła ustać na nogach. To nic nie znaczyło, przekonywała się w myślach. Robert już taki jest. Pocałował ją na pożegnanie, bo jest jej przyjacielem. Ot, taki niewinny wyraz sympatii. Kiedyś już tak ją pocałował, a ona długo łudziła się, że chciał jej w ten sposób coś powiedzieć. Cóż, była wtedy dzieckiem, a teraz jest już dojrzałą kobietą.

Oderwała się w końcu od drzwi i poszła posprzątać ze stołu. Nadal nie mogła opanować drżenia rąk. Może powinna podkreślić ogrzewanie? Albo wziąć gorącą kąpiel?

Gdy w końcu zanurzyła się w ciepłej, pachnącej lawendą wodzie, uspokoiła się i zebrała myśli. Obiecała sobie, że będzie odporna na urok roztaczany przez Roberta. Nie zamierzała spotykać się z nim aż do ślubu. Ani razu.

Ale pocałunek pozostawił niezatarty ślad. Usta jej nadal płonęły. Nie pomogła gorąca kąpiel ani zimny prysznic.

Robert włożył dyskietkę do komputera, kliknął polecenie „drukuj”, po czym zamknął się w łazience. Musiał zmyć z siebie wrażenie brudu, które dręczyło go, od chwili gdy zaczął grzebać w prywatnym życiu Daisy. Ale woda nie pomogła mu pozbyć się poczucia winy.

Zawinał się w ręcznik i przytrzymując się umywalki, przez

chwilę patrzył z obrzydzeniem na swe odbicie w lustrze. Powtarzał sobie, że robi to wszystko wyłącznie dla dobra Daisy. Kiedyś jeszcze mu za wszystko podziękuję... Nałożył na twarz piankę do golenia i wziął do ręki maszynkę. Ale zaraz ją odłożył. Ogoli się rano, gdy będzie miał pewniejszą rękę.

Mieszkanie wydało mu się bardzo ciche. Janinę zawsze nastawiała muzykę albo rozmawiała przez telefon. Właściwie tęsknił za spokojem i ciszą, ale dziś czuł się bardzo nieswojo. Za chwilę zrobi coś, czego długo będzie się wstydził.

Nalał szybko drinka - potrzebował tego, by dodać sobie odwagi - a następnie zebrał kartki papieru wyplute przez drukarkę. Ze szklanką w ręce usiadł na sofie i oddał się lekturze.

W spisie adresowym Daisy figurowało sporo osób, które mógł z góry wykluczyć. Przede wszystkim kobiety. Michael zdecydowanie twierdził, że chodzi o mężczyznę... Mężczyznę, którego kochała od bardzo dawna... Właściwie od kiedy? Gdzie się poznali? Do licha, jak mógł tego nie zauważyć? To oczywiste, że Michael wiedział, kim był ów mężczyzna, ale jasno dał do zrozumienia, że nie piśnie ani słowa więcej. Dlaczego był taki tajemniczy?

Cóż, sam musi rozwikłać tę zagadkę.

Zaczął czytać listę, skreślając kobiety oraz członków rodziny. Niektórych mężczyzn, których dobrze znał, również mógł śmiało

wykluczyć. Przede wszystkim skreślił siebie.

Wreszcie zostały tylko trzy sześcioliterowe imiona. Zakreślił je kółkiem.

Conrad Peterson. Nazwisko brzmiało znajomo, ale facet mieszkał w Nowej Zelandii. Jego kandydatura wydawała się mało prawdopodobna.

Samuel Jacobs. Zarówno imię, jak i nazwisko składało się z sześciu liter. Robert wykręcił numer telefonu, ale nikt nie odbierał. Trzeba będzie sprawdzić go jutro.

Drugie imię to Xavier O'Connell.

- Ojciec Xavier O'Connell.

Robertowi zamarło serce, gdy zorientował się, że ten mężczyzna jest duchownym. Podniósł szklanke, potem ją odstawił. Zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Może nie było za późno na telefon do duchownego? Z wahaniem wykręcił numer.

- Tu St Catherine. Czym mogę służyć?

Robert nie spodziewał się, że usłyszy kobiecy głos.

- Czy... czy mógłbym rozmawiać z ojcem O'Connellem?

- Jest trochę późno. Ojciec O'Connell pewnie już śpi... Czy nie mógłby pan zadzwonić rano?

- Naprawdę muszę z nim dziś porozmawiać.

- Zobaczę, czy ojciec może podejść do telefonu - odpowiedział

kobiecy głos, trochę mniej uprzejmym tonem.

Po chwili odezwał się mężczyzna z miękkim, śpiewnym, irlandzkim akcentem:

- Tu O'Connell. Czym mogę służyć?

Robert tak mocno ścisnął słuchawkę, że pobieleły mu dłonie.

- Nazywam się Robert Furneval. Jestem przyjacielem Daisy Galbraith...

- Robert Furneval? - Głos z namysłem powtórzył imię i nazwisko. - Syn Jennifer, prawda?

Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego.

- Ojciec zna moją matkę? - zdumiał się szczerze.

- Owszem. Poznaliśmy się w Hongkongu jakieś dwadzieścia lat temu. Razem poszukiwaliśmy tam skarbów. Jak ona się miewa?

- Bardzo dobrze...

- A Daisy? Co u niej? Chyba nie ma kłopotów? - dodał z lekkim niepokojem w głosie. - Czy jest chora...?

- Nie, nie jest chora.

- Dzwoni pan w sprawie tego tłumaczenia? Robię je tak szybko, jak mogę, ale obawiam się, że nie jestem już tak sprawny, jak kiedyś. Do siedemdziesiątki czułem się doskonale, ale teraz oczy odmawiają mi posłuszeństwa.

Robert przełknął ślinę.

- Daisy na pewno poczeka... - zapewnił.

Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, co powiedzieć.

- A ty, mój synu? - nalegał ojciec O'Connell. - Masz jakiś problem?

- Tak, mam - przyznał szybko Robert. - Ale teraz wydaje mi się, że ojciec nie może mi pomóc. Przepraszam, że niepokoiłem o tak późnej porze.

- Nic się nie stało, drogi chłopcze. Proszę powiedzieć Daisy, żeby do mnie wpadła na szklaneczkę czegoś mocniejszego. Pan też może przyjść. Towarzystwo młodzieży zawsze sprawia mi przyjemność.

Miał o wiele lżejsze serce, gdy skreślał nazwisko Xaviera O'Connella.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Poniedziałek, dwudziesty siódmy marca. Dlaczego, na Boga, Mikę i Ginny zdecydowali się pobrać? Teraz przecież wszyscy wolą żyć na kocią łapę. Do licha, dlaczego nie uciekłam przed tym wszystkim na narty?! Na pewno udałoby mi się coś złamać... Może nos? Kto chciałby mieć druhnę ze

zdeformowanym nosem? Bolesne, ale o wiele mniej niż wizyta u fryzjera. I dlaczego Robert mnie pocałował?!

- To będzie łatwe.

Siedziała w salonie fryzjerskim w Mayfair owinięta od szyi do stóp w różową płachtę i mrugając oczami, starała się nie patrzeć na swe odbicie w lustrze.

- Łatwe? - Jak dotąd nikt nie odważył się stwierdzić, że jej włosy są łatwe do ułożenia.

Stylistą uśmiechnął się do jej odbicia.

- Cały sekret tkwi w tym, aby nie walczyć z lokami, tylko wykorzystać ich naturalny skręt - powiedział.

- Ale ja nie lubię loków. Chcę choć raz w życiu mieć proste, gładkie włosy, takie jak dziewczyny z reklam szamponów!

- A ja chciałbym przypominać Roberta Redforda. - Uśmiechnął się szerzej. - Trzeba wykorzystać to, czym obdarzyła panią natura. A pani ma gęste, zdrowe włosy. Musi pani je polubić.

Polubić? Nigdy nie przyszło jej to do głowy. Od dzieciństwa słyszała, że jej włosy to prawdziwa katastrofa. Próbowwała je prostować za pomocą specjalnych przyrządów, używała rozmaitych lakierów, pianek i odżywek - bez skutku. Polubić swoje włosy... ?

- Myślę, że potrzebuję czasu, aby przywyknąć do tej myśli - od-

parła. - A tymczasem proszę z nimi coś zrobić.

- Będzie pani zadowolona - uspokoił ją, biorąc się śmiało do roboty.

Wiara, jaką prezentował ten mężczyzna, była ożywcza niczym powiew świeżego powietrza. Daisy odprężyła się, gdy podcinał jej włosy, cieniował, a potem po raz ostatni ułożył je palcami i oświadczył, że jest z siebie dumny.

- To już wszystko? - Właściwie nie widziała żadnej różnicy. Nadal miała na głowie nieład, tyle tylko, że teraz bardziej... artystyczny.

- Jeszcze tylko dwie gałązki bluszczu, dwa pączki białych róż i na tym koniec. Będzie pani wyglądać olśniewająco.

Olśniewająco? To miły komplement, ale Daisy wcale nie była przekonana. Po cichu marzyła jedynie o tym, by na tle pięknych brunetek nie wyglądać śmiesznie i żałośnie.

- Chciałabym podzielać pański optymizm - skwitowała.

- Stawiam na szalę całą swoją reputację, że idąc w ślubnym orszaku, nie będzie pani wyglądać gorzej od panny młodej. - Fryzjer z uśmiechem zdjął z niej różową pelerynę. - Proszę jednak przestać ściągać włosy tą okropną gumką. I radzę użyć korektora, by zatuszować ciemne obwódki pod oczami. Moja recepcjonistka doradzi pani, jaki wybrać odcień.

Korektor rzeczywiście pomagał ukryć ciemne obwódki, ale nie zastępował snu... Powieki Daisy ciężko opadały, gdy usiadła wreszcie za swoim biurkiem i starając się nie rozpamiętywać pocałunku Roberta, zaczęła studiować katalog aukcyjny.

Obudziła się gwałtownie, gdy jej głowa uderzyła o blat. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potarła rękami twarz i zerknęła na zegarek. Zbliżała się pora lunchu. To znaczy, że czas na przymiarke u krawcowej. Miała nadzieję, że spacer przez park postawi ją na nogi.

Robert nie mógł dodzwonić się do Samuela Jacobsa w niedzielę wieczorem i teraz już wiedział dlaczego. Samuel Jacobs, który w XIX wieku założył kampanię importującą modne wówczas dzieła sztuki orientalnej, zginął bezpotomnie, gdy jego statek zatonął u wybrzeży Chin. Przedsiębiorstwo ocalało i nadal nosiło jego nazwisko. Robert ustalił, że firma wciąż zajmowała się importem towarów z Dalekiego Wschodu. No cóż, Daisy raczej nie zakochałaby się w przedsiębiorstwie, choćby nie wiem jak pasjonowała się orientalnymi antykami. Gdy ostatecznie wykreślił Samuela Jacobsa z listy, poczuł się całkiem zagubiony.

Już wcześniej wyeliminował Conrada Petersona, który okazał się znanym kolekcjonerem dzieł sztuki. Robert przypomniał sobie

głośny swego czasu skandal. Otóż w wyniku wyroku rozwodowego pan Peterson musiał zapłacić ogromne odszkodowanie byłej żonie, która złapała go *in flagranti*... z mężczyzną.

Do diabła, dlaczego Michael był taki tajemniczy? Czemu nie dał mu żadnego punktu zaczepienia? Ale Robert musiał równocześnie przyznać, że przyjaciel wcale nie prosił go o przeprowadzenie śledztwa. To był jego własny, autorski, rzecz można, pomysł. Zastanawiał się, czy Ginny coś wie... Nie mógł jednak tak znienacka zadzwonić i o to spytać.

Potrzebował stosownego pretekstu... Uśmiechnął się z satysfakcją, gdy przypomniał sobie obietnicę daną Daisy.

- Ginny? Tu Robert. Mam do ciebie małą prośbę... Potrzebuję kawałek żółtego aksamitu, z którego uszyte będą suknie drухen.

- Skąd wiesz o żółtym aksamicie? To miała być tajemnica.

- Obiecuję, że nikomu nie powiem - zapewnił. - Pod warunkiem, że dostanę metr materiału.

- To szantaż! - roześmiała się. - Co ty znowu knujesz?

- Wymyśliłem niespodziankę dla Daisy.

- Przyjemną, mam nadzieję. W porządku, wpadnę po południu do twego biura. Mam nadzieję, że poczęstujesz mnie herbatą.

Robert był zadowolony ze swego posunięcia. Chciał również umówić się z Daisy, by spróbować coś z niej wyciągnąć, ale okazała

się tego dnia nieuchwytna. Gdy do niej dzwonił, zbywała go uprzejmie. Zastanawiał się, jak ją zmusić, by zechciała przystać na jego propozycję.

Wreszcie sięgnął po papeterię, napisał krótki liścik, włożył do koperty i starannie wykaligrafował adres galerii Latimera.

- Mary, wychodzę na chwilę - poinformował sekretarkę.

- Za pół godziny ma pan wideokonferencję z Delhi - przypomniała mu. - A potem lunch ze współpracownikami.

- Czy mógłbym zapomnieć o głównych wydarzeniach tygodnia? - spytał kwaśno.

- Co to jest? - Daisy wróciła od krawcowej obarczona wielkim czarno-złotym pudłem, w którym znajdowała się poprawiona suknia.

Natychmiast zauważyła na swoim biurku białe pudełko, pochodzące z ekskluzywnych delikatesów.

George wzruszył ramionami.

- Posłaniec przyniósł je dziesięć minut temu - wyjaśnił.

- Tu jest list - dodał, niepotrzebnie zresztą, ponieważ Daisy zdążyła już dostrzec przyczepioną do pudełka kopertę.

Natychmiast rozpoznała charakter pisma i skarciła się w duchu, ponieważ jej serce zabiło żywiej, jak zwykle na samą myśl o Robertcie. Drżącymi palcami rozerwała kopertę, po czym wyjęła z niej po-

jedynczą kartkę papieru.

Najdroższa Daisy!

*Wiem z dobrze poinformowanych źródeł, że obowiązkiem
drużby jest opieka nad druhnami - i to nie tylko tymi ładnymi.
Uznałem więc, że powinienem dopilnować, byś z powodu
przymiarki sukni nie straciła lunchu.*

Robert

PS. Dzięki za kolację.

- Nie tylko nad tymi ładnymi! - zacytowała z furją. - Potwór! -
Odrzuciła list i otworzyła pudełko. - Och! - Szybko zamrugała oczami, wpatrując się ze zdumieniem w smakowicie wyglądające przekąski.

- Kolacja? - zdziwił się George, podnosząc list i jednocześnie częstując się maleńkim pasztecikiem nadziewanym świeżym łososem.

- To były tylko grzanki z marmoladą i gorąca czekolada - wyjaśniła.

- Naprawdę? - George oblizał palce. - Myślę, że ostatnią kobietą, która uraczyła go takim zestawem, była jego matka.

- Też tak przypuszczam. - Popatrzyła na kunsztownie ułożone

wytworne specjały i nagle ogarnęło ją dziwne przeczucie, że nad jej spokojną egzystencją zbierają się czarne chmury. Doszła do wniosku, że Robert coś knuje.

Do licha z Janinę! Że też musiała odejść od Roberta dokładnie na dwa tygodnie przed ślubem Michaela! To prawda, że kiedyś sprawiłoby to Daisy ogromną radość, cieszyłaby się z częstego towarzystwa Roberta, a potem przechowywałyby wspomnienia, jak wiewiórka zapasy na zimę. Ale teraz uznała, że nie wytrzyma dwóch tygodni takich czułości, nie zdradzając się przy tym ze swymi uczuciami. W każdym razie nie po tym pocałunku...

Podsunęła George'owi pudełko, aby mógł łatwiej do niego sięgać. Zupełnie straciła apetyt.

- Nie zamierzasz zadzwonić do niego i podziękować, tak jak uczyła cię matka? - spytał z udawaną naganą. Poruszał niezdecydowanie palcami, wahając się pomiędzy kolejnym pasztecikiem a kawałkiem kurczaka. - Jestem pewien, że czeka na telefon.

Wolałaby, żeby George wyszedł. Wówczas mogłaby swobodnie porozmawiać z Robertem. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że traciła silną wolę, ulegała pokusie... Jeden pocałunek wystarczył, by wszystkie jej zamierzenia legły w gruzach. Jeden pocałunek!

Wiedziała, że Robertowi flirtowanie przychodziło z dziecinną łatwością. Już dwukrotnie odrzuciła jego zaproszenie, a zatem stała

się dla niego swego rodzaju wyzwaniem. Z pewnością właśnie dlatego ją pocałował. Ta myśl pomogła jej ochłonąć. Nie zamierzała dołączać do grona wielbicielek Roberta, gotowych na każdy szalony i poniżający krok w celu zdobycia upatrzonego mężczyzny. W żadnym razie! Niech sobie czeka na telefon.

- Wolisz tarte ze szparagami czy łososia? - spytała George, celowo pomijając milczeniem jego pytanie.

Spojrzał na nią z zadumą, a potem wzruszył ramionami.

- To twój lunch. Wybór należy do ciebie.

Była bardziej głodna, niż myślała. Ostatecznie zjadła kurczaka, a potem jeszcze kilka tartinek z pomidorem.

- Posłuchaj - zmieniła temat - przejrzałam katalog aukcyjny i zaznaczyłam eksponaty, które chciałabym nabyć. Może będzie lepiej, jeśli sam to jeszcze raz sprawdzisz.

- Spójrzmy... - Przesunął wzrokiem po liście. - Te dwa przedmioty możesz licytować nieco wyżej - powiedział, zaznaczając je ołówkiem. - A co to jest?

- Jennifer Furneval prosiła, bym to dla niej obejrzała. Co o tym sądzisz?

- Idę o zakład, że ta waza w rzeczywistości nigdy nawet nie widziała Japonii. Wiesz, jak to sprawdzić? - Zrobił notatkę na marginesie i nie czekając na odpowiedź Daisy, dodał: - Oczywiście, że wiesz.

Ale niezależnie od zdania Jennifer, nie płąć więcej niż... - Z poważnym uśmiechem podniósł wzrok. - W przeciwieństwie do ciebie, jeśli Jennifer czegoś bardzo pragnie, łatwo daje się ponieść emocjom.

- Za pięć lat może się okazać, że to była wyjątkowo okazjna cena - podkreśliła.

- Masz rację, to jest ryzyko. Żaden asekurant jeszcze nie zawojuował świata, moja droga. - Wzruszył ramionami. - Ale też żaden się nie sparzył. Cóż, jesteśmy bardziej handlarzami niż kolekcjonerami. Musimy myśleć pragmatycznie.

Zerknęła na niego z zainteresowaniem. Odniosła wrażenie, że w tej wypowiedzi jest ukryty podtekst.

- Czy nadal rozmawiamy o porcelanie? - spytała.

- A o czym innym? - Uśmiechnął się tak niewinnie, że prawie mu uwierzyła.

- Jeśli ta waza okaże się kopią, znajdę coś innego dla Jennifer - oświadczyła Daisy. - Robert szuka dla niej prezentu na urodziny.

- Oczywiście, moja droga. Czy udało ci się zarezerwować pokój w Warbury Arms?

- Jakież nowe wiadomości? - Lunch ze współnikami był wydarzeniem tygodnia. Podczas gdy wszyscy wokół myśleli o ewentualnej fuzji, Robert był w stanie myśleć jedynie o Daisy i o tym, czy

smakowały jej przesłane specjały.

Mary podała mu listę telefonów oraz elegancką czarno-złotą torebkę.

- Zostawiła to pewna młoda dama. - Mary zerknęła do notatnika. - Panna Ginny Layton. Bardzo ładna...

- Przyszła za wcześnie - powiedział Robert, spoglądając na zegarek. - Do licha, to ja się spóźniłem! A tak mi zależało, by z nią porozmawiać.

- Powiedziała, że nie może czekać i zadzwoni później.

- Do diabła, najlepsze plany... Och, chciałem się czegoś od niej dowiedzieć wyjaśnił zdziwionej Mary. - Może jest ładna, ale bez wątplenia zauważyłaś duży brylant na palcu jej lewej ręki i domyśliłaś się, że jest zaręczona. Wychodzi za mojego najlepszego przyjaciela. - Oderwał wzrok od listy, którą mu przekazała. - Nikt inny nie dzwonił?

- Nikt. Być może wyszedłeś z wprawy, Robercie? - zażartowała. - Jak ona się nazywa?

- Daisy Galbraith... - Urwał. To było śmieszne! - Moja stara przyjaciółka. Znamy się od dziecka. Jeśli zadzwoni, możesz sama ją o wszystko spytać. A na razie połącz mnie z matką.

- To aż tak poważna sprawa?

- Poważna? - No pewnie, jeszcze jak. Trochę zbyt późno zorien-

tował się, że sekretarka bawi się jego kosztem. - Moja droga Mary - powiedział, zdając sobie sprawę, że nadal trzyma w ręce plastikową torbę. - Wyślij to do mojego krawca, zgoda? Czeka na ten materiał.

- Na żółty aksamit?

- Ach, więc nie zdołałaś się oprzeć ciekawości!

- Chyba nie spodziewałaś się, że nie zajrzę do środka? - Mary wyraźnie czekała na wyjaśnienie.

- To materiał na kamizelkę. Na ślub uroczej Ginny Layton, którą właśnie poznałaś. Jestem drużbą i pomyślałem, że będzie zabawnie, jeśli dopasuję kamizelkę do sukni druhen. A teraz bądź uprzejma zadzwonić do mojej matki - przypomniał z lekką irytacją.

Matki nie było w domu. Po chwili zastanowienia Robert doszedł do wniosku, że może lepiej się stało. Skoro Mary podejrzewała, że jego zainteresowanie Daisy niewiele ma wspólnego z niewinną przyjaźnią, to zapewne inni wyciągną bardzo podobne wnioski. Nie chciał bronić się przed oskarżeniami, że uwodzi nieletnią...

Zaraz, przecież Daisy nie jest nieletnia. Mikę powiedział, że jego siostra ma dwadzieścia cztery lata i jest dorosłą kobietą. To fakt, Robert jednak uważał się za o wiele starszego i bardziej doświadczonego. I właśnie dlatego było wręcz jego obowiązkiem wyciągnąć ją ze ślepej uliczki, w jaką zabrnęła.

A zresztą, informacje, jakich potrzebował, mógł łatwo wycią-

gnąć od Monty'ego Sheringhama.

Ustalił więc z łatwością, gdzie odbędzie się planowana aukcja, na którą wyjeżdżała Daisy. Ciekawe, czy pojawi się tam również jej tajemniczy kochanek? Trzeba to zatem osobiście sprawdzić.

W miejscowości Warbury był tylko jeden hotelik, w którym ostał się pojedynczy pokój bez łazienki.

- To z powodu aukcji - poinformowała go przepaszającym tonem recepcjonistka.

- Jeśli to ostatni, nie mam wyboru.

Resztę popołudnia i część wieczoru spędził w pracy. Dopiero gdy dotarł wieczorem do domu, przypomniał sobie, że Daisy nie zadzwoniła, by podziękować za lunch. Musiała być naprawdę bardzo zajęta, skoro zapomniała o dobrych manierach. A może po prostu nie chciała z nim rozmawiać? Ale dlaczego?

Rozluźnił krawat, włączył automatyczną sekretarkę i nalał sobie drinka. „Robert? - Głos Janinę zakłócił ciszę w pokoju. - Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale czy nie znalazłeś przypadkiem apaszki? Szarej, jedwabnej apaszki? Jest mi bardzo potrzebna”.

Nie znalazł i nie zamierzał wcale szukać. Musiał przyznać, że Janinę przynajmniej poczekała z tym telefonem dłużej niż większość poprzednich dziewczyn. Wszystkie dawały mu czas na posmakowa-

nie straty, a potem szansę odnowienia znajomości. Ale on nienawidził mieć związanych rąk... Jaki ojciec, taki syn. Ojciec jednak był samolubny, chciał mieć wszystko, i dlatego złamał serce swojej żonie. Robert natomiast nie zamierzał krzywdzić żadnej ze swoich partnerek.

Poszuka apaszki i odeśle ją przez posłańca.

Wysłuchał kolejnej informacji: „Robercie, tu Ginny. Przykro mi, że nie spotkaliśmy się dzisiaj w twoim biurze, ponieważ chciałam cię o coś prosić. Czuję się winna, że zmusiłam Daisy, by została druhną. Wiem, jak ona nienawidzi tego rodzaju wystąpień. Zastanawiam się, czy nie mógłbyś zaopiekować się nią podczas wesela, sprawić, by dobrze się bawiła? Jesteś naszym najlepszym przyjacielem, dlatego prosimy cię o pomoc”.

„Robercie...”

Nareszcie. To był głos Daisy. Sprawdził godzinę, o której została wiadomość. Wczesne popołudnie... Z powodzeniem mogła zatem zadzwonić do biura. Najwyraźniej go unikała. Słuchał uważnie: „Dziękuję za wyśmienity lunch. Potrzebowałam wsparcia, zwłaszcza po tym, jak ujrzałam siebie w sukni druheny. Zobaczymy się na ślubie. Na pewno mnie zauważysz, ponieważ to ja będę tym brzydkim kaczątkiem. Cześć”.

Uśmiechnął się, co było na pewno jej intencją. Nie ma obaw,

nie przegapię cię, obiecał jej w duchu.

„Robercie, czy mógłbyś wyświadczyć mi przysługę? - Stanowczy, ostry głos jego matki sprowadził go z powrotem na ziemię. - Poprosiłam Daisy, aby wylicytowała dla mnie na aukcji pewną porcelanową wazę, nie pomyślałam jednak nad sposobem zapłaty. Będę ci wdzięczna, jeśli dopilnujesz, by w razie sukcesu nie miała z tym problemu. Z góry dziękuję”.

Uniósł szklankę w triumfalnym toaście. Zastanawiał się właśnie, jak wytłumaczy sceptycznej Daisy swoją obecność w Warbury. Zwłaszcza że jej „zobaczymy się na ślubie” zabrzmiało bardzo stanowczo.

- Dzięki ci, mamó. Dostarczyłaś mi właśnie wyśmienitego pretekstu!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wtorek, dwudziesty ósmy marca. Podróż pociągiem była okropna; potworny tłok, a do tego rześisty deszcz. George oczywiście miał rację. Waza imari w rzeczywistości wcale nie jest japońska. Znalazłam jednak coś dla Jennifer. Nie byłam

jedyną osobą, która przeglądała pudła na zapleczu w nadziei, że znajdzie coś wartościowego, co nie zostało zauważone. Może powinnam wspomnieć o tym jednemu z portierów? A jeśli to cacko zostanie przez nieuwagę stłuczone? Och, do diabła!

Daisy zdjęła mokre buty, otrzepała płaszcz przeciwdeszczowy, powiesiła go wraz z parasolką w łazience, a potem przebrała się aż do bielizny. Dawno nie widziała takiego deszczu.

Rozwiesiła spodnie i sweter na wieszaku na ręczniki, potem zaś włożyła krótki chiński szlafroczek. Następnie ręcznikiem w ręce usiadła w starym, krytym adamaszkiem fotelu i usiłowała wysuszyć włosy.

Gdy rezerwowała podwójny pokój, czuła się trochę winna z powodu jego ceny, ale było to jedyne wolne lokum, jakie w ogóle nadawało się do zamieszkania. Dziś, po całym dniu buszowania wśród skarbów, ale również i zwykłej tandety, знаła, że zasłużyła na odrobinę luksusu. Masując palce próbując wykrzesać z siebie nieco energii do zaparzenia herbaty, doszła do wniosku, że pierwszy dzień wyprzedaży u Harrodsa od dzisiaj będzie jej się wydawał jedynie miłą rozrywką. Spojrzała tęsknie na barek. Czy nie znalazłoby się tam trochę brandy...?

Myśląc o rozkosznym ciepłe rozchodzącym się po jej ciele, przymknęła oczy. Tylko na sekundę lub dwie...

Warbury Arms - przyjemna, stara gospoda z dębowymi belkami na suficie i prawdziwym kominkiem - w pełni odpowiadała tradycyjnemu wyobrażeniu turystów o starej Anglii. Ten cholerny deszcz jest niestety równie prawdziwy i angielski, pomyślał z irytacją Robert, przepychając się wśród tłumu handlarzy i kolekcjonerów, którzy zjechali na aukcję i kłębili się przy recepcji.

- Czy panna Galbraith już się zameldowała? - spytał podniesionym głosem, wypełniając kartę meldunkową.

- Och, tak, oczywiście. Przyjechała kwadrans temu. Czy państwo będziecie jedli razem kolację? Radziłabym zamówić stolik już teraz, ponieważ mamy mnóstwo gości.

- Zobaczymy - powiedział Robert wymijająco. Przecież Daisy mogła mieć inne plany. Poza tym nie był pewien, czy ucieszy się na jego widok. Ta myśl przygnębiła go tak bardzo, że przez moment chciał nawet odwrócić się na pięcie i uciec, gdzie pieprz rośnie. Ale tylko przez moment. Michael mógł sobie bagatelizować afery miłosne Daisy, ale on nie potrafił. - Jaki jest numer jej pokoju?

Zaniósł torby do siebie, odświeżył się i już po kilku minutach ruszył na poszukiwanie Daisy. Nim zapukał do jej pokoju, zatrzymał

się na chwilę. Czuł się jak tani detektyw z przedwojennego filmu, który śledzi niewierną żonę.

Zacisnął dłonie w pięści i przyłożył ucho do drzwi. Gdyby tylko wiedział, czy Daisy była sama. Do licha, nie chciał stawiać jej w kłopotliwej sytuacji. Pragnął jedynie pomóc. Ale najpierw należałoby chyba zebrać więcej informacji.

Może lepiej zejść na dół i poczekać, aż Daisy się pojawi? Tak byłoby bardziej elegancko. A jeśli ona zamówi kolację i szampana do pokoju?

Co powinien zrobić, jeśli okaże się, że Daisy nie jest sama w pokoju? Z pewnością będzie zażenowana, a tego nie chciał. Byli przecież przyjaciółmi - dobrymi przyjaciółmi. Nagle przypomniał sobie wyraz jej oczu, w chwili gdy ją całował. Natychmiast odrzucił konwenanse i wątpliwości. Musiał wiedzieć. Po prostu musiał.

Mocno zapukał do drzwi. Żadnej odpowiedzi.

Może jest w łazience albo w skupieniu przegląda katalog i nie życzy sobie, by jej przeszkadzano? A może leży w objęciach kochanka.

BRAK STRONY

w ustach i wszelkie udawanie, że nie widzi w swej przyjaciółce kobiety, przestało mieć jakikolwiek sens. Miał tylko jedno w głowie - porwać Daisy w ramiona i...

Prawdę mówiąc, od czasu przyjęcia u Monty'ego nie mógł przestać o niej myśleć. To dziwne, ale dopiero ten bezczelny Australijczyk uzmysłowił mu, że Daisy jest niezwykle seksowna. Nawet teraz nie mógł oderwać od niej oczu.

- Wygodny pokój - zauważył. - Ale trochę za duży jak na jedną osobę.

- Nie miałam wyboru - powiedziała bezradnie. - Oprócz tego wolny był jedynie jednoosobowy pokoik na strychu, w dodatku bez łazienki. Co ty tu robisz, Robercie?

- Wypełniam misję. - Podeszedł do tacy, szybko odkrył, że stojący na niej czajnik jest zimny i pusty, a potem rozejrzał się w poszukiwaniu łazienki. Tutaj teren był czysty - żadnej marynarki na krześle ani męskich kapci... Doznał krótkotrwałej ulgi. Nie mógł jednak oprzeć się przykreemu wrażeniu, że na jego widok twarz Daisy przybrała wyraz rozczarowania. Czyżby czekała na kogoś innego? - Dostanę herbaty? - spytał.

- Wybierałam właśnie pomiędzy herbatą a brandy, gdy zmorzył mnie sen - wyznała, poprawiając palcami zmierzwione włosy i tłumiąc ziewanie. - A więc jaka to misja?

- Trochę za wcześnie na brandy - odparł wymijająco.

- Być może, ale miałam bardzo ciężki dzień. - Wyjęła mu z ręki czajnik i poszła do łazienki po wodę. - Jaka to misja? - powtórzyła

głośno, odkręcając kran.

- Może „misja” to niezbyt adekwatne słowo - odparł. - Raczej przyływ miłosierdzia. Otóż przyjechałem, by dotrzymać ci towarzysztwa i zaprosić cię na kolację.

Gdy wyłoniła się z łazienki, Robert miał okazję podziwiać jej smukłe, zgrabne nogi. Przypomniał sobie niezgrabną dziewczynkę z kościstymi, wystającymi kolanami i mimo woli uśmiechnął się szeroko.

- Co cię tak rozbawiło?

- Co? Och, nic. - Uśmiech zgasł równie szybko, jak się pojawił. Teraz jej nogi były bardzo zgrabne, a kolana krągłe i kształtne. - Zrobiłaś coś z włosami - powiedział tylko po to, aby oderwać myśli od jej nóg.

- Mówiłam ci, że byłam u stylisty. Wiele nie zmienił, po prostu trochę podciął końce. Widocznie uznał, że nie warto się bardziej wysilać. Ale dlaczego tu przyjechałeś, Robercie? - nie ustępowała.

- Nie uwierzyłaś, że przyjechałem po to, by zaprosić cię na kolację?

- Nie - potwierdziła bez wahania. Z czajnikiem w ręce podeszła do tacy. - Nikt zdrowy na umyśle nie przyjechałby tu w taką pogodę, gdyby nie musiał...

- Właśnie.

- Chcesz powiedzieć, że musiałeś przyjechać?

- Otrzymałem rozkaz od matki, że mam się tu stawić z książeczką czekową. - Wziął od niej czajnik, włączył go do kontaktu. - Masz coś kupić dla mojej mamy, prawda? - spytał. - Uznała, że możesz potrzebować pieniędzy.

- Och! Przykro mi, Robercie, ale facygowałeś się niepotrzebnie. Waza, którą zainteresowała się twoja matka, to tylko kopia.

Dla Roberta japońska waza była jedynie pretekstem do przyjazdu, ale Daisy wyglądała na szczerze zmartwioną.

- Czy to falsyfikat? - zainteresował się uprzejmie.

- Nie, kopia. Niekiedy sprowadzano nie wykończoną porcelanę z Japonii i pokrywano ją wzorami w Europie. W katalogu ta waza figuruje jako porcelana w stylu imari. Przypuszczam, że w pewnym momencie usunięto znak wytwórcy, by sprzedać ją jako wyrób japoński. W ten sposób można oszukać amatora, ale Jennifer byłaby rozczarowana.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że to będzie świetny prezent urodzinowy. A może znajdziesz na aukcji jakiś inny ciekawy okaz?

- Może.

Robert spojrział na nią uważniej. Daisy była wyraźnie zmęczona. Pod oczami miała ciemne obwódki, których nigdy przedtem u niej nie zauważył. A mimo to sprawiała wrażenie podnieconej. Wątpił, by

to miało coś wspólnego z aukcją... I nagle zrobiło mu się smutno. Odwrócił się szybko, by Daisy nie zauważyła zmiany jego nastroju.

- Zobaczę, co uda mi się znaleźć - ciągnęła. - A ile zamierzasz wydać na ten prezent?

- Wszystko jedno. - Wzruszył ramionami. - Wolałbym najpierw obejrzeć to cacko, by zorientować się, ile jest warte.

- Zobaczyć?

- Oczywiście. Skoro już tu przyjechałem, zamierzam zostać na aukcji.

- Och! - Daisy korciło, by powiedzieć mu o naczyniu w stylu kakemon, które zauważyła w jednym z pudeł na zapleczu. Sama zamierzała je kupić dla Jennifer, ale mógłby to być wspaniały prezent urodzinowy od Roberta. Jeśli oczywiście udałoby się je nabyć za rozsądną cenę... Trudno jednak przewidzieć, jak potoczy się licytacja. W każdym razie nie powinna zdradzać nadmiernego podniecenia z powodu swego znaleziska. Oczywiście, mogła się pomylić, co do jego wartości, ale... - Gdzie się zatrzymałeś? - spytała, zmieniając temat.

- Chyba będę musiał zadowolić się pokojem bez łazienki, z którego ty zrezygnowałaś - odpowiedział Robert.

- Nie zastanawiaj się zbyt długo! Nie widziałeś tego tłumy na dole? Ciesz się, że w ogóle cokolwiek znalazłeś.

- U ciebie jest wolne bardzo wygodne łóżko - powiedział z prowokującym uśmiechem. - Nie wyrzucisz mnie chyba na ten deszcz, prawda?

- Nie jesteś z cukru.

- Być może, ale jeśli szybko nie zdejmę mokrych skarpetek, na pewno złapię grypę.

- Zapalenie płuc - sprostowała. - Nie wiesz, że grypę wywołuje wirus?

- Zapalenie płuc? Tak sądzisz? - Przez chwilę się zastanawiał. - Oczywiście, z zapaleniem płuc nie będę mógł być drużbą...

- I oczywiście z tego powodu Michael i Ginny odłożą ślub - powiedziała i uśmiechnęła się szeroko.

Było to zwyczajne przekomarzanie się, ale Robert dosłyszał w głosie Daisy cień zdenerwowania. A zatem dodatkowe łóżko było zajęte... Mimo że się tego spodziewał, ogarnęła go bezsilna wściekłość. Musi wiedzieć więcej.

- Mogę pojechać do Ross i znaleźć pokój, ale nie ma powodu, byśmy nie mieli pójść razem na kolację - powiedział z wyraźnym naleganiem.

- Widzisz, Robercie, zamierzałam zjeść kanapkę w pokoju i położyć się wcześniej do łóżka - odparła, zwijając się w kłębek w dużym fotelu.

- Sama? - To słowo wymknęło mu się mimo woli.

- Wracaj lepiej do Londynu. Obiecuję, że znajdę coś dla Jennifer na urodziny. Zwrócisz mi pieniądze w Londynie.

Wzruszył ramionami. Czyżby nie zauważyła, do czego zmierzał? Chyba że tak świetnie potrafiła się maskować... Była zamknięta w sobie, to fakt. Tak właśnie powiedział Michael. Bardzo skryta.

- Mam nadzieję, że mimo wszystko poczęstujesz mnie filiżanką herbaty? - Nie czekając na odpowiedź, zalał torebki herbaty wrzątkiem. - Proszę - powiedział, dolewając mleka i podając Daisy filiżankę. - Wiesz, nie musisz się już martwić o swoje kolana. Wcale nie są kościste.

Bezwiednie zakryła nogi i zaczerwieniła się. Dlaczego w jego towarzystwie czuła się tak onieśmielona? Przecież Robert nie po raz pierwszy widział jej nogi... Wiele razy na przykład kąpali się razem w rzece. On, Michael i Daisy... Robili tak każdego lata, aż do wyjazdu Roberta na uniwersytet. A nawet później... Aż do czasu, gdy skończył studia i przeniósł się do Londynu.

- O której rano rozpoczyna się ta zabawa? - spytał ostrym tonem.

- Zabawa?

Wyglądała na przestraszona. Czyżby dręczyło ją poczucie winy?

- Aukcja - wyjaśnił spokojnie.

- Och, rozumiem. Nie nazwałabym tego zabawą. Rano przez godzinę można jeszcze oglądać eksponaty, sprzedaż zaś rozpoczyna się o dziesiątej. Przy odrobinie szczęścia, jeśli zdążę na pociąg, powinnam być w domu o piątej.

- Nikt cię nie podwiezie?

- Nie jeżdżę z nieznajomymi.

- Może spotkasz kogoś... znajomego? - Dopił herbatę, odstawił filiżankę i podszedł do drzwi. - Gdybym został, mógłbym cię odwiedzić - powiedział zachęcająco.

Nie dała się złapać na haczyk.

- Wynudzisz się - odparła. - To nie będzie taka aukcja, jakie ogląda się w telewizji...

- Byłem już wcześniej na kilku aukcjach - przerwał jej. - Na pewno nie zmienisz zdania na temat kolacji?

Wstała i odprowadziła go do drzwi.

- Na pewno. Dziękuję.

Gdy spojrzał na nią uważnie, dostrzegł w jej oczach cień desperacji. Wyciągnął dłoń, dotknął jej policzka i zmusił się do uśmiechu, którego zapewne po nim oczekiwała.

- Zaczynam podejrzewać, że próbujesz się mnie pozbyć, kaczuszko. Chyba nie ukrywasz w łazience tajemniczego kochanka?

- Do diabła, przyłapałeś mnie! - Roześmiała się, pokazując równe, białe zęby, pozostające w żywym kontraście z czerwonymi, niezwykle zmysłowymi ustami. A potem nagle jej oczy zaszyły mgłą. - Proszę, jedź uważnie - powiedziała pospiesznie. Położyła rękę na jego ramieniu, wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

Dotyk jej dłoni i ciepły oddech na skórze - wszystko to sprawiło, że zachowanie spokoju przychodziło mu z największym trudem. Do licha, jeszcze tydzień temu na myśl, że Daisy ma tajemniczego kochanka, śmiałyby się do rozpuku. Ale dziś nie mógł o tym przestać myśleć i zerkając na drzwi łazienki - które dokładnie zamknęła - zastanawiał się, jak wyratować przyjaciółkę z opresji.

Daisy oparła się o drzwi i jęknęła. Do diabła z George'em, który zawsze wszystko wiedział najlepiej! Do diabła z Jennifer, która zawsze była taka troskliwa! Do diabła z Robertem, którego tak kochała, a który był poza jej zasięgiem... Znów jęknęła.

Nie mogła tego zrobić... Nie mogła wyrzucić go na taką pogodę. Nie postąpiłaby tak z psem, a co dopiero z mężczyzną, którego kochała. Zwłaszcza że kierował nią czysty egoizm. Po prostu chciała sobie oszczędzić bólu, gdyż dzielenie pokoju z Robertem byłoby dla niej koszmarem. Oczywiście, wiedziała, że w jego towarzystwie mogła czuć się zupełnie bezpiecznie, i to właśnie było takie przygnębiające. Z rozmachem otworzyła drzwi. Chciała go zawołać, ale korytarz był

pusty. Do licha! Wsunęła stopy we wciąż mokre buty i z rozwiązany-
mi sznurowadłami wybiegła na korytarz, a potem na schody.

- Robert!

Był już na samym dole. Odwrócił się i spojrzał na nią zdumio-
ny.

- Co się stało, kaczuszko?

- Zmieniłam zdanie w sprawie kolacji - wyrzuciła z siebie jed-
nym tchem, uświadamiając sobie, że zwróciła na siebie powszechną
uwagę innych gości.

- Tylko w kwestii kolacji? - Uśmiechnął się chytrze.

Zarumieniła się gwałtownie.

- Jennifer nigdy by mi nie wybaczyła, że cię wyrzuciłam na taką
pogodę. Zwłaszcza że rzeczywiście mam wolne łóżko...

Urwała w oczekiwaniu, że Robert powie coś śmiesznego, co ją
rozluźni, ale on po prostu wszedł na górę, wziął ją za rękę i chwilę
potrzymał.

- Włóż coś na siebie, a ja zarezerwuję stolik, zgoda? - zapropo-
nował.

Dopiero wtedy zorientowała się, że stoi przed tłumem ludzi
ubrana jedynie w krótki szlafroczek i sznurowane buty. Do licha!
Gwałtownym ruchem zgarnęła połę szlafroka i popędziła na górę, nie
potykając się na szczęście o rozwiązane sznurowadła.

Słyszając dochodzące z dołu tłumione wybuchy śmiechu, jęknęła ciężko. Świat kolekcjonerów dzieł sztuki był taki mały! Do dziś mogła buszować wśród wystawionych eksponatów, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Ale w wyniku swego impulsywnego zachowania stanie się powszechnie znaną postacią. Nawet po latach ludzie będą powtarzać: „Daisy Galbraith? Znam ją! Byłem wtedy w Warbury, gdy na wpół naga goniła po schodach jakiegoś mężczyznę”.

Mocno zatrzęsnęła za sobą drzwi. Dlaczego, na Boga, nie potrafiła zachować ani krzty zdrowego rozsądku? Dlaczego akurat teraz musiała stracić głowę?

Nim znalazła sensowne odpowiedzi na te pytania, spojrzała w lustro i zadrżała. Za dużo nóg, za dużo wszystkiego! A w dodatku jej ciało nazbyt się zaróżowiło, kontrastując nieprzyjemnie z żółtawymi włosami!

Na samą myśl, że ma wrócić do baru pełnego ludzi, poczuła głębokie zażenowanie. Ale jedzenie kolacji w pokoju byłoby jeszcze gorszym rozwiązaniem. W ten sposób cały wieczór spędziłaby sama na sam z Robertem w sypialni... Co by robili? O czym rozmawiali? A potem musieliby się rozebrać i pójść do łóżek... To byłoby naprawdę dosyć kłopotliwe. Szła o zakład, że Robert nie używa pizamy.

Gdy będą na dole, znajdzie jakiś pretekst, by wrócić wcześniej na

górze, bezpiecznie schować się pod kołdrą i zamknąć oczy, zanim Robert położy się do łóżka.

Zdjęła wilgotne buty i otworzyła szafę. Nie miała dużego wyboru. Nie należała do dziewczyn „przygotowanych na każdą okazję”. Pakowała tylko rzeczy bezwzględnie konieczne. W podróż ubrała się w stare, wysłużone spodnie oraz jedwabną bluzkę, teraz już niestety nieco pogniecioną.

Pozostał jedynie seksowny czerwony kostium, który zgodnie z instrukcją George'a miała włożyć na aukcję, aby godnie reprezentować galerię, oraz buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Właściwie cieszyła ją myśl, że podczas aukcji będzie rozpraszać innych uczestników licytacji, zakładając w odpowiednim momencie nogę na nogę.

Ileż by teraz dała za długą, luźną spódnicę oraz sportowe buty na płaskim obcasie, z których tak wyśmiewał się George!

Wewnętrzny głos szeptał jej, że po powrocie z Warbury nic nie będzie już takie jak kiedyś. Z głową pełną ponurych myśli weszła pod prysznic.

Robert nie był pewien swoich uczuć. Oszołomienie? Może lekka postać klinicznego szoku?

Gdy wychodził z jej pokoju, był naprawdę przygnębiony. A po-

tem, gdy odwrócił się, słysząc swoje imię, i zobaczył ją stojącą na podeście schodów, owiniętą tylko w jedwabny szlafroczek sięgający zaledwie połowy uda... Cóż, większość osób znajdujących się w barze również była zdumiona. Jednak Roberta zaszokował nie tyle strój Daisy, co rozpierająca piersi radość.

Może dziś w nocy Daisy będzie sama? Może jej kochanek nie mógł przyjechać? Nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś był w jej życiu.

Do licha, może to i lepiej. Sama myśl, że mógłby się zakochać, przyprawiała go o śmiech. Równocześnie jednak po raz pierwszy w życiu miał ochotę się rozplakać - właśnie z tego powodu, że nie potrafił zakochać się w Daisy.

Postanowił, że przenocuje w pokoju na strychu, a jutro odwiezie ją do domu. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić. A potem, zgodnie z jej życzeniem, aż do ślubu będzie trzymać się od niej z daleka. Pomyślał z goryczą, że jeśli rzeczywiście jest nieodrodnym synem swego ojca, to jego zainteresowanie Daisy wygaśnie bardzo szybko.

- Chciałbym zarezerwować stolik - powiedział do recepcjonistki. - Na dwie osoby.

- Na siódmą czy na dziewiątą, proszę pana? Mamy dziś bardzo dużo gości.

- Na siódmą. - Odwrócił się, ponieważ stojąca obok kobieta w średnim wieku dramatycznie podniosła głos.

- Ale ja muszę dostać jakiś pokój! Wezmę cokolwiek. Samochód mi się zepsuł i nie ma szans, by naprawiono go wcześniej niż jutro po południu. - Kobieta była przemoczona, wyczerpana i najwyraźniej zdesperowana.

- Może pani wziąć mój pokój - odezwał się niespodziewanie Robert. - Numer dwadzieścia trzy - dodał, gdy recepcjonistka uniosła brwi. - Żaden problem - dodał. - Zaraz wezmę swoje rzeczy i przyniosę klucz.

Żaden problem? Właściwie nie... Przynajmniej tym dobrym uczynkiem wymaże kłamstwo, jakim uraczył Daisy. Teraz pozostało mu ponieść konsekwencje.

Daisy zostawiła dla niego otwarte drzwi. Słyszając szum wody, zapukał do drzwi łazienki, by dać znać, że wszedł.

- Nalać ci drinka? - zapytał.

Woda przestała na chwilę lecieć.

- Tak... Dziękuję. Zaraz wychodzę.

- Nie ma pośpiechu. - Potrzebował kilku minut, by zebrać myśli.

Obejrzał zawartość barku, znalazł brandy dla Daisy, a dla siebie

szkocką, rozlał do szklanek butelkę piwa imbirowego i, nim Daisy wyszła z łazienki, zdążył upozować się przy oknie, skąd obserwował z udawanym zainteresowaniem krople deszczu rozpryskujące się o dach.

- Brandy i piwo imbirowe, to cię rozgrzeje - zwrócił się do Daisy, zerkając na nią kątem oka. Głowę miała owiniętą ręcznikiem, drugi zaś ręcznik szczelnie przykrywał całą jej postać od stóp do głów. - Zabiorę to ze sobą do łazienki - dodał, podnosząc swoją szklankę. - Nie mamy dużo czasu. Zarezerwowałem stolik na siódmą. Pomyślałem, że wolisz się wcześniej położyć... Po tak długim dniu... - Zamknął drzwi do łazienki i sącząc drinka, wsłuchiwał się przez chwilę w odgłosy dobiegające z pokoju. Zaraz, ten dziwny dźwięk, to chyba... Tak, Daisy podnosiła właśnie słuchawkę telefonu...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wtorek w nocy lub środa nad ranem. To bez znaczenia. Ważne jest natomiast to, że zachowałam się jak kompletna idiotka. Robert jest dorosłym mężczyzną i ma taki samochód, że

może gwizdać na złą pogodę... A teraz leży w zasięgu mojej ręki... Jest tak cicho, że słyszę jego oddech. Nie mogę tego znieść!

Daisy usłyszała, jak Robert zamyka za sobą drzwi do łazienki. Za chwilę pewnie będzie brał prysznic. Rozpaczliwie pragnąc oderwać się od tej wizji, chwyciła za telefon.

- Witaj, Daisy. - George Latimer tak szybko podniósł słuchawkę, jakby czekał na jej telefon. - Jak minął dzień?

- Był długi, zimny i mokry - odpowiedziała.

- Żadnych problemów?

- Właściwie nie mam problemów - odparła z typową dla siebie powściągliwością.

- W takim razie, powiedz mi, o co „właściwie” chodzi.

Czy mogła powiedzieć George'owi o tym, że Robert Furneal stoi teraz nagi pod prysznicem w jej łazience, a później będą spali razem w jednym pokoju!

- Jest pewna sprawa, George... Wydaje mi się, że wypatrzyłam coś naprawdę interesującego...

- Nie sądzę, że to może być to, o czym myślisz, Daisy - powiedział, gdy skończyła opisywać niezwykle naczynie, które znalazła wśród kuchennej zastawy. - Łatwo dałaś się ponieść wyobraźni.

Ponieść? Ona nigdy nie ulegała emocjom. Powściągliwość powinna być jej drugim imieniem. Oto dlaczego nie stała teraz obok Roberta pod prysznicem.

- Takie odkrycia zdarzają się niezwykle rzadko. - Głos George'a sprowadził ją z powrotem na ziemię.

- Ale się zdarzają, prawda? - nalegała. - Bezcenne misy znajdowano czasami w kurnikach.

- Owszem - zgodził się, ale niemal była pewna, że wzruszył lekceważąco ramionami. - Nie pozwól jednak, by pragnienie sławy wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem.

- Uważasz, że powinnam dać sobie spokój?

- Chyba że pragniesz stać się właścicielką wielkiego pudła kuchennej porcelany.

- A jeśli się nie mylę?

- Cóż, w tej chwili i tak nie mogę ci w niczym pomóc. Postaraj się zachować zimną krew.

- Zastanawiam się, czy powinnam wspomnieć o tym pozostałym uczestnikom aukcji.

Spodziewała się, że George zaraz spyta ją, czy nie opła się przypadkiem blekotu. On jednak milczał przez długą chwilę, a potem powiedział:

- Przypuszczam, że mogłabyś. - Jednak w jego głosie słychać

było powątpiewanie.

- Ale nie radzisz mi tego robić?

- Mam na względzie twoje dobro. Jeśli masz rację, poczują się głupio i nigdy ci tego nie wybaczą. Odtąd na każdej aukcji będziesz otoczona przez reporterów i handlarzy; każdy będzie szukać tematu do artykułu. Oczywiście, jeśli się mylisz, wszyscy będą się z ciebie wyśmiewać, a pośrednio, również ze mnie.

- A co z właścicielami licytowanej porcelany?

- Jeśli ich rzeczoznawcy nie zauważyli niczego interesującego, to już nie twoja sprawa.

- Wiem, ale...

- Obecny baronet odziedziczył po przodkach talent do trwonienia pieniędzy. Wszystko, co zarobi na tej aukcji, i tak zaraz przepuści na wyścigach albo w modnych restauracjach. Nie zwracaj sobie nim głowy.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym Daisy odłożyła słuchawkę. Osiągnęła zamierzony cel. Rozmowa z pryncypałem skierowała jej myśli w inną stronę. Fakt, że George podważył jej kompetencje zawodowe, trochę ją nawet zirytował.

Zdjęła ręcznik z głowy i rozczesała palcami włosy. A jednak kupi to pudło kuchennej porcelany i jeszcze wszystkim pokaże! A jeśli popełni błąd... Cóż, zna właścicielkę pewnej firmy zajmującej się

organizacją przyjęć. Im zawsze przyda się zastawa stołowa w przyzwoitym stanie. Jeśli jednak naczynie, które sobie upatrzyła, okaże się autentycznym, nie zamierzała wcale chwalić się odkrytym przez siebie skarbem.

Ubrana w czarną koronkową halkę, siedziała przed toaletką i malowała sobie usta, gdy drzwi łazienki otworzyły się z impetem.

- Jesteś przyzwoicie ubrana?

- W porównaniu ze strojem, w jakim ostatnio pojawiłam się w recepcji hotelu, powiedziałabym, że mam na sobie zbyt wiele.

Nie odezwał się, więc odwróciła głowę. Robert stał oparty o drzwi łazienki, ubrany jedynie w ręcznik opasujący mu biodra. Nawet się nie uśmiechał. Mokre, ciemne, szesane do tyłu włosy dodawały mu uroku.

Od razu zrobiło jej się sucho w ustach. Gdy Robert nadal milczał, przełknęła ślinę i spytała niepewnie.

- Co się stało?

- Nigdy nie sądziłem, że nosisz czarną bieliznę.

- Doprawdy? Czyżbyś w ogóle o tym myślał? - Właściwie wcale nie chciała poznać odpowiedzi na to pytanie, więc zaraz dodała: - Dziwne, ale ja nigdy nie pomyślałam o twojej bieliźnie.

Odwróciła głowę, by zetrzeć nadmiar szminki, a potem wstała i podeszła do szafy. Była świadoma, że Robert śledzi każdy jej ruch,

przygląda się, jak wyjmuje kostium, wkłada spódnicę, zapina ją w pasie.

Spódnica była za krótka. O wiele za krótka. Czowała się w niej naga. Włożyła obcisły zakieciak i zapięła guziki. Niewiele to pomogło. Odwróciła się i sięgnęła po drinka.

Był zimny i gorący zarazem. Ostry smak imbiru chłodził gardło, brandy zaś rozgrzewała całe ciało. Pod wpływem alkoholu poczuła lekki zawrót głowy.

Robert poruszył się w końcu, otworzył torbę i wyjął bordową koszulę oraz krawat.

Daisy wstrzymała oddech. Jego slipy były białe. Niespodzianki, jak widać, zdarzają się obu stronom. Robert szybko wycofał się do łazienki i zamknął za sobą drzwi.

W zaciszu łazienki głęboko odetchnął. Gdy Mike powiedział mu, że mała Daisy jest już dorosłą kobietą, ogarnęły go wątpliwości. Jak mógł być tak ślepy? A może niespełna rozumu?

Wielki Boże, co on robił, gdy Daisy dorastała? Dlaczego nie zauważył, jak bardzo się zmieniła? Czy dlatego, że nigdy nie postrzegał jej jako kobiety? A może w ogóle jej się nie przyglądał? Może ona nie chciała, by to zauważył?

Z jednej strony była to nadal stara dobra Daisy, którą znał od zawsze i której - niczym średniowieczny rycerz - pospieszył na ratunek.

Daisy, która spędzała z nim czas, gdy ją o to prosił, i która potrafiła cały dzień siedzieć cicho nad brzegiem rzeki, moczając nogi w wodzie - dziewczyna potrafiąca spojrzeć na siebie z dystansem.

Ale Daisy miała również drugie oblicze. Była to elegancka kobieta, zachowująca się z lekką rezerwą, seksowna i zmysłowa. Kobieta o gładkich ramionach, wąskiej talii i delikatnej jak jedwab skórze.

Miała swoje sekrety i być może wcale nie potrzebowała pomocy.

Gdy zapinał mankiety koszuli, zauważył, jak bardzo drżą mu dłonie. Nie powinien był tu przyjeżdżać. Ale skoro już spalił za sobą mosty i zrezygnował ze swojego pokoju, będzie musiał zostać. A może, pomimo ulewnego deszczu, lepiej by było wyruszyć natychmiast w drogę powrotną do Londynu?

Błyskawice, coraz częściej przecinające ciemne niebo, a potem niedaleki odgłos gromu, odwiodły go od tego lekkomyślnego pomysłu.

Długo zwlekał z opuszczeniem łazienki. Aż do dzisiaj nigdy nie zastanawiał się, o czym będzie rozmawiać z Daisy. Konwersacja z nią zawsze była lekka, łatwa i naturalna. Dziś rozpaczliwie szukał jakiegoś neutralnego tematu.

Wziąwszy głęboki oddech, otworzył drzwi.

- Jeśli mam wziąć udział w aukcji - powiedział, wkładając marynarkę - będziesz musiała trochę mnie podszkolić. Wolałbym nie wyjeżdżać stąd jutro z wypchaną papugą pod pachą.

Daisy roześmiała się szeroko, gdy otwierał przed nią drzwi na korytarz.

- Mówiłeś, że już byłeś na aukcji - przypomniła.

- Byłem. Miałem wtedy siedem lat i ojciec zabrał mnie na taką imprezę, pod warunkiem jednak, że będę siedział cicho jak mysz pod miotłą.

- Twój ojciec? - Spojrzała na niego zaskoczona. - Czy również jest kolekcjonerem? Jennifer nigdy o nim nie wspominała.

- Jest historykiem. Bada życie rodów, które od pokoleń mieszkają w tej samej okolicy. A moją matkę poznał właśnie na aukcji.

Robert rzadko wspominał o swoim ojcu. Daisy nie bardzo wiedziała, co powiedzieć.

- Musiałeś się bardzo wynudzić - odezwała się w końcu.

- Wcale nie. - Fakt, że przez cały dzień miał ojca tylko dla siebie wart był udręki, jaką była konieczność siedzenia bez ruchu i w milczeniu. - Zabrał mnie na lunch, dał mi kieliszek wina z wodą i pozwolił zamówić, co tylko chciałem. - A tymczasem sam flirtował z ładną kelnerką. Dziś, z perspektywy dwudziestu lat, wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że jedynym celem wizyty ojca w tej re-

stauracji było spotkanie z fertyczną kelnerką, a wino i dobre jedzenie miało odwrócić uwagę syna.

- Widujesz się z nim czasami?

- Owszem. Pomiędzy kolejnymi romansami skłania się ku refleksji, że moja matka była jedyną kobietą, którą naprawdę kochał, tak więc zaprasza mnie na obiad i próbuje nakłonić, bym pomógł mu odzyskać jej miłość.

- I robisz to?

- Jeśliby mu na tym naprawdę zależało, nie prosiłby mnie o wstawiennictwo. - Gdy dotarli do schodów, odwrócił się nagle. Czy to gra jego wyobraźni, czy też Daisy była wyższa, niż mu się zawsze wydawało? Zerknął na jej nogi i ze zdziwieniem zauważył, że założyła buty na bardzo wysokich obcasach.

Takie same pantofle nosiła Janinę. Kosztowały fortunę, ale Janinę uważała, że były niezwykle seksowne. Zgadzał się zresztą z jej opinią. Ale tak mówiła Janinę, a tutaj chodziło o Daisy! Daisy, która zawsze nosiła wygodne buty na płaskim obcasie, dzinsy lub długie spódnice. Daisy, która zawsze spletała włosy w warkocz...

- Co się stało z twoimi sznurowanymi butami? - zapytał, nie kryjąc zdziwienia.

- Wypchałam je gazetami i suszę - wyjaśniła, zdając sobie sprawę, że Robert przygląda się jej wytwornym, czarnym pantoflom.

Ustawiła stopy obok siebie i zerknęła w dół. - George mnie na nie namówił - wyjaśniła. - Ma nadzieję, że dzięki nim odwrócę uwagę konkurencji.

- Na mnie działają.

- Poczekaj tylko, aż założę nogę na nogę. - Zachichotała. -

Ćwiczyłam to przed lustrem.

Zmusił się do odwzajemnienia uśmiechu. Należało utrzymać swobodny ton.

- Czy naprawdę chcesz wywołać tu dzisiaj zamieszki? - zapytał z uśmiechem.

- Świetny pomysł! - ucieszyła się. - Jeśli ci wszyscy zarozumiali handlarze sztuką dojdą do wniosku, że jestem tylko głupią blondynką, nie będą we mnie widzieli godnego przeciwnika, prawda?

- Nie chcesz, by traktowali cię poważnie? - zdziwił się.

- Przynajmniej nie jutro.

Daisy spostrzegła w oczach Roberta powątpiewanie. Będzie musiała bardziej się postarać.

- Znałeś wiele dziewczyn, Robercie - odezwała się. - Powiesz mi, czy jestem w tej roli przekonująca, dobrze?

- Sugerujesz, że uwodzę tylko głupie blondynki?

- Ależ skądże! - Zamrugwała gwałtownie, znakomicie udając naiwną, głupią gęś. - Myślę nawet, że Janinę była całkiem inteligentna.

- Całkiem inteligentna? - powtórzył z przekąsem.

- Wystarczająco inteligentna, by uciec, nim sama zostanie porzucona - poprawiła się Daisy. - Ale gdyby była naprawdę mądra, planowalibyśmy teraz wasz ślub, nieprawdaż?

Robert uprzejmie skrzywił usta w uśmiechu, ale zrobił to bez przekonania.

- Wiesz, jak na kaczątko, jesteś całkiem bystra - powiedział z przekąsem.

Daisy znów zachichotała, jak przystało na prawdziwą głupiotką blondynkę.

- Ale nie przesadzaj z tym, moja droga - przestrzegł ją Robert.

- Czy to w ogóle możliwe?

- Wiedźma. - Tak było znacznie lepiej. Wrócili do prawienia sobie złośliwości. Gdy przekraczali próg restauracji, Robert odzyskał dobry humor. - Obawiam się, że nie budzimy takiego zainteresowania, na jakie zasługujesz - dodał z właściwą sobie uszczypliwością.

Miał rację. Tłum nie był już tak gęsty, ponieważ goście rozeszli się do swoich pokojów. Daisy nie zamierzała jednak pozwolić, by ten żart uszedł Robertowi na sucho.

- Jest tylko jedno wyjście: szampan! - oświadczyła. - Gdy strzeła korek od szampana, wszyscy od razu nadstawiają uszu. - Aby pod-

kreślić swe słowa, pstryknęła palcami i wiele głów od razu odwróciło się w jej stronę.

- Jesteś głodna i zmęczona - ostrzegł ją. - Szampan uderzy ci do głowy.

- Obiecujesz, że tak właśnie będzie? - Popatrzyła na niego załotnie.

Czy tak się zachowuje w towarzystwie swego kochanka? Wyglupia się i flirtuje? Czy to do niego telefonowała przed chwilą? Czy chciała go ostrzec, by nie przyjeżdżał? A może nie mogła wytrzymać nawet jednego wieczoru bez rozmowy z ukochanym?

- Czy przynieść kartę win, proszę pana? - Kelner rozproszył ponure myśli Roberta.

- Proszę o butelkę Bollingera. - Robert przeglądał menu. - Zjemy naleśniki z grzybami... - zerknął na Daisy i uśmiechnął się złośliwie - a potem pieczoną kaczkę.

- Chwileczkę! - zaprotestowała Daisy, ale kelner oddalił się już od ich stolika. - Lubię sama wybierać sobie dania.

- Zapomniałaś, że jesteś głupią blondynką? One wolą, gdy mówi im się, co mają jeść. Uwierz mi.

- Och, oczywiście, że wierzę. - Zarumieniła się.

- I nie rumienią się tak często.

Robert bezczelnie jej się przyglądał, a ona czerwieniła się coraz

mocniej. Rozmowa stawała się niebezpieczna i dziwnie podniecająca. Kelner otworzył butelkę bardzo profesjonalnie; korek gładko i niemal bezgłośnie wystrzelił w górę. Kilku gości przyglądało im się z uśmiechem, wyobrażając sobie zapewne, że coś świętują.

- Teraz musimy wznieść toast - powiedział Robert, unosząc kieliszek.

- Dlaczego?

- Taka jest tradycja. Po to właśnie wynaleziono szampana.

- W takim razie za jutrzejszą aukcję!

Potrząsnął głową.

- Wypadasz z roli, Daisy. Nie wystarczy krótka spódnica, wysokie obcasy i chichot, byś przemieniła się w słodką idiotkę.

- Naprawdę? W takim razie spróbuję się poprawić. - Uniosła kieliszek. - A może by tak... za ukryty skarb kupiony za śmiesznie niską cenę!

- Nieźle - pochwalił. - Jeszcze nie dość głupie, ale już znośne. Idźmy dalej i wypijmy za całe pudło skarbów i brak konkurentów!

Roześmiała się głośno, po raz kolejny zwracając na siebie powszechną uwagę.

- To rzeczywiście głupie. - Wzruszyła ramionami. - Wypijmy więc za pudło skarbów i brak konkurencji! - powtórzyła, stukając w jego kieliszek, po czym zaczęła małymi łykami popijać szampana.

- Co byś zrobiła, gdybyś zdobyła prawdziwy skarb?

- To proste. Popłynęłabym do Chin, a potem do Japonii, i zwiedziłabym wszystkie tamtejsze muzea.

- Na razie jakoś nie kwapisz się do takiej wyprawy - skomentował.

- Ależ owszem, tylko boję się latać.

- Nie wierzę, że czegokolwiek się boisz.

- Boję się latania i robaków - oświadczyła. I miłości do Roberta Furneala, uzupełniła w duchu. - Kupiłabym także jakiś wspaniały eksponat dla Muzeum Wiktorii i Alberta - ciągnęła pospiesznie. - Zawsze mogłabym na to cudo popatrzeć, a jednocześnie nie musiałabym się o nie martwić... - Urwała, ale ponieważ patrzył na nią z niedowierzaniem, dodała zaraz: - I kupiłabym ci nową wędkę. Tak dawno nie byłeś na rybach, że stara na pewno już nie nadaje się do użytku. A jaki ty byś zrobił użytek ze skarbu?

- Nie wierzę w takie historie - odpowiedział.

- To nie ma znaczenia - nalegała. - Pofantazjuj!

Przecież musiał czegoś chcieć... Owszem, miał jedno jedyne marzenie. Nie wiedział o tym aż do dzisiejszego wieczoru... Całym sercem i duszą pragnął pokochać pewną kobietę i spędzić z nią resztę życia. A tego nie można było kupić za pieniądze.

- Tropikalna wyspa... - zaczął niepewnie. Spojrzenie Daisy zda-

wało się go palić, przenikać na wskroś. - Jacht... - Patetyczne. Sam roześmiał się z tego pomysłu. - Klub futbolowy.... - Zobaczył rozczarowanie w jej oczach. Na pewno uznała go za człowieka powierzchownego i mało oryginalnego. Cóż, prawdopodobnie takim właśnie go widziała. Ale nie mógł powiedzieć jej prawdy. - To nie jest w porządku - zaprotestował w końcu. - Ty miałaś czas, by to przemyśleć.

Kłamał. Przez moment w jego twarzy i oczach dostrzegła, że pragnie czegoś rozpaczliwie, ale nie potrafi wyrazić tego słowami. A może się boi...?

Nie mogła o to spytać, ponieważ na pewno udawałby, że nie wie, o czym mowa. Zachowałyby się tak samo, gdyby ktoś chciał zgłębić jej sekretne myśli. Wyciągnęła rękę i przelotnie dotknęła dłoni Roberta.

- Powiesz mi innym razem - powiedziała, a potem z uśmiechem odwróciła się do kelnera, który przyniósł pierwsze z zamówionych dań.

Zazwyczaj wspólne milczenie wpływało na nich kojąco. Ale tym razem oboje byli spięci i dziwnie onieśmieleni.

To Robert był bardziej zdenerwowany. Miał mnóstwo do powiedzenia - całe morze słów, jakie rozpaczliwie pragnął z siebie wyrzucić. Jednak Daisy znała go lepiej niż ktokolwiek inny i z pewno-

ścią nie potraktowałyby go poważnie. Co gorsza, ponieważ znała go tak dobrze, mogłaby poczuć się urażona. Zresztą od dłuższego czasu kochała przecież kogoś innego... Mimo to jednak pragnął, by wiedziała, że mu na niej zależy.

- A może zrobimy tak? - powiedział. - Jeśli odnajdę cenny skarb, wykupię pozwolenie wędkarskie na połów łososi, wynajmę mały domek nad jakąś szkocką rzeczką i kupię dwie wędkę. Jedną dla ciebie, drugą dla siebie.

Daisy uniosła wzrok znad talerza i uśmiechnęła się lekko.

- Nie oszukasz mnie, Robercie. Potrzebna ci jestem tylko do robienia kanapek.

Może lepiej nie wyprowadzać jej z błędu?

- Robisz wspaniałe kanapki. Uwielbiam te z serem brie i oliwkami.... - Na chwilę przykrył jej dłoń swoją dłonią. - Pojechałybyś ze mną?

Uśmiechnęła się szerzej, przekręciła rękę i zacisnęła palce wokół jego dłoni.

- Najpierw znajdź skarb, a potem porozmawiamy. Ale pośpiesz się, ponieważ, jeśli to ja pierwsza zostanę bogata, odpłynę pierwszym statkiem do Azji...

- Czyż to nie uroczy widok? Daisy i Robert trzymający się za ręce! O, i jest szampan. Czyżby stary dobry Monty o czymś nie wie-

dział?

Daisy wyrwała rękę z uścisku Roberta.

- Monty! Co ty tutaj robisz?

- Reportaż z aukcji, kochanie - odpowiedział i pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Spodziewałem się, że cię tu spotkam. - Spojrzał znacząco na Roberta. - A przynajmniej taką miałem nadzieję. Nie zdążyłem ci nawet podziękować za pomoc podczas przyjęcia.

- Nie ma za co - odparła zbyt pośpiesznie, ponieważ bardzo pragnęła zmienić temat. - To była świetna zabawa...

- Nick nie podziela twego zdania. Biedak, porwano mu sprzed nosa dziewczynę jego marzeń! Jesteś bardzo sprytny, Robercie.

Robert był zbyt doświadczony, by tak łatwo dać się wyprowadzić z równowagi.

- Zaopiekowałem się tylko naszą przyjaciółką - powiedział spokojnie.

- Cóż za oddanie. Czyżbyś odziedziczył po matce umiłowanie piękna?

Monty doskonale potrafił operować słowem i wyciągać z rozmówców nawet najbardziej poufne informacje. Należało w jego towarzystwie zachować szczególną czujność. Robert już widział oczami duszy, jak staje się bohaterem kroniki towarzyskiej.

- Przyjechałem tu z książeczką czekową w charakterze bankiera mojej matki - wyjaśnił. - Daisy ma dla niej poszukać czegoś interesującego na aukcji.

- Doprawdy? - Monty uśmiechnął się przebiegle. - No cóż, pstrąg mi stygnie na talerzu. Pozostawię was samych, byście mogli dalej gruchać. Mam nadzieję, że później wypijemy w barze drinka. Wtedy wszystko mi opowiecie.

Robert z ulgą obserwował, jak Monty wraca do stolika.

- Monty jest w porządku - odezwała się Daisy pocieszająco. - Tylko trochę błaznuje. Ale co on tutaj robi? Przecież nie pisuje o sztuce, tylko redaguje rubrykę plotek.

- Ta aukcja to jednocześnie wydarzenie towarzyskie. Ostatecznie nie co dzień arystokraci pozbywają się w ten sposób pamiątek po szacownych przodkach. Pozostaje nadzieja, że będzie zbyt zajęty, by napisać coś na nasz temat.

- Och, ale... - Wybuchnęła śmiechem. - Przecież by tego nie zrobił!

- To zawodowy plotkarz, moja droga. Nie liczyłbym na jego względy.

Robert czekał przy barze. Gdy Monty pojawił się w drzwiach, skinął na barmana, by podał zamówione brandy.

- Jesteś sam, chłopie?

- Daisy miała ciężki dzień. Pogadasz z nią jutro, o ile znajdziesz chwilę wolnego czasu.

- Już napisałem artykuł. Szukam jedynie jakichś pikantnych ploteczek.

- Z pewnością znajdziesz tu mnóstwo materiału do swojej rubryki - zapewnił go Robert bez namysłu.

Monty podniósł kieliszek brandy i zakręcił nim tak, że płyn zawirował na dnie.

- Czy to aluzja, że wolałbyś, bym nie wtykał nosa w twoje sprawy, Robercie? - spytał chytrze.

- Nie chodzi o mnie. Mam jednak nadzieję, że na tyle lubisz Daisy, by nie zrobić jej przykrości.

- Już wszystko sprawdziłem w recepcji - pochwalił się Monty.

- A więc wiesz, że zarezerwowałem pojedynczy pokój.

- Wiem również, że zachowałeś się po rycersku i oddałeś go pewnej damie. - Westchnął teatralnie. - Nie wyobrażam sobie ciebie, stary, śpiącego w samochodzie. W taką okropną pogodę... - A gdy Robert nie odpowiadał, nieoczekiwanie zmienił temat: - Czy przypadkiem nie znasz jakiegoś przyzwoitego księgowego, który zająłby się moimi podatkami? Oczywiście kogoś, kto nie obdarłby mnie ze skóry?

Robert poczuł, jak opuszcza go napięcie.

- Na pewno kogoś znajdę - powiedział. - Czegóż się nie robi dla przyjaciół.

- Dzięki. Może jeszcze po jednym? - Skinął na barmana, a potem dodał nieoczekiwanie: - Wiesz, właściwie nie jestem zdziwiony.

- Czym?

- Tobą i Daisy, oczywiście. Poproszę brandy dwa razy! - zwrócił się do kelnera. - Ten pan płaci. - Odwrócił się do Roberta. - Myślałem o tym przy kolacji. Zawsze do niej wracasz, prawda? Masz małe skoki w bok z pięknymi dziewczynami, ale to tylko przelotne romanse. Potem zawsze pojawiaasz się na przyjęciach, w teatrze czy restauracji, z Daisy u boku, nieprawdaż?

- Nie jestem pewien, czy za tobą nadążam - odparł zdumiony Robert.

- W takim razie nie jesteś taki inteligentny, za jakiego cię uważałem. - Uniósł do góry kieliszek, który postawił przed nim kelner. - Za wasze zdrowie!

- Daisy!

Nie było odpowiedzi. W słabym świetle lampki nocnej Robert zauważył, że Daisy już śpi. Leżała na boku z twarzą przyciśniętą do poduszki, jej włosy otaczały głowę miękką, złotą aureolą.

Chciał ją uspokoić, że Monty nic nikomu nie powie, ale nie było sensu jej budzić. Jutro też jest dzień. Przysiadł na brzegu łóżka i obserwował, jak kołdra unosi się i opada wraz z każdym oddechem Daisy.

Rozwiązał krawat i rozpiął mankiety koszuli. Nie, Monty się pomylił co do charakteru związku Roberta i Daisy. Byli tylko przyjaciółmi. Od zawsze. Nawet wtedy, gdy jako chudy podłotek włóczyła się wszędzie za nim i za Mikiem, nie potrafił się oprzeć jej błagalnym spojrzeniom i zawsze się za nią wstawiał.

Nadal wyglądała jak dziecko. Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, pogłaskać, ale jego dłoń zastygła w powietrzu. Daisy wyglądała tak niewinnie... Nie chciał, by przytrafiło jej się coś złego. Zrobi wszystko, co w jego mocy, by wyciągnąć ją z tarapatów.

Z dłońmi zaciśniętymi w pięść stał jeszcze chwilę przy jej łóżku, po czym wolno poszedł do łazienki, by się przebrać. Przerazał go fakt, że podczas gdy umysł miał zaprzątnięty szczytnymi postanowieniami, jego ciało zdradzało zupełnie odmienne pragnienia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Środa, dwudziesty dziewiąty marca. Nie spałam. Nie zmrużyłam oka. Wreszcie dopadło mnie znużenie, ale gdy Robert wszedł do pokoju, tylko udawałam, że śpię. Kiedy głośno wymówił moje imię, o mały włos się nie zdradziłam! Musnął mój policzek. Tak delikatnie... Gdyby od razu się nie odsunął...

Robert naprawdę spał, gdy Daisy wstała z łóżka. Leżał na plecach z jednym ramieniem odrzuconym na bok, kołdrę miał owiniętą wokół pasa. Wyglądał tak młodzieńczo... Daisy zapragnęła dotknąć jego twarzy, podobnie jak on zrobił to w nocy.

Koniuszkami palców musnęła jego brodę, ale zaraz cofnęła rękę. Lepiej, żeby spał, gdy ona będzie się ubierać.

Zabrała ubranie do łazienki, a potem tak szybko i tak cicho, jak tylko potrafiła, wzięła prysznic. Następnie zaparzyła herbatę i jedną filiżankę postawiła na stoliku obok łóżka Roberta.

Przystanąła, ciesząc się chwilą tej nieoczekiwanej intymności. Zapewne druga taka okazja się nie nadarzy. Robert leżał przed nią prawie nagi. Mogła napawać się widokiem doskonale umięśnionych ramion i pięknie sklepionej klatki piersiowej.

- Do widzenia... - szepnęła, a potem, czując pieczenie pod powiekami, pochyliła się i pocałowała go w policzek. - Żegnaj!

Nawet nie drgnął. Nie było powodu, by go budziła. Odwróciła się i cicho wyszła z pokoju.

Roberta obudził telefon. Nieporadnie namacał słuchawkę, potrącając przy tym filiżankę i zalewając zimną herbatą nocny stolik. Zaklął z irytacją.

- Furneval! - rzucił do słuchawki.

W restauracji, gdzie zgromadzili się na śniadaniu uczestnicy aukcji, rozlegał się szum podekscytowanych głosów. Daisy, choć bardzo zdenerwowana, skubnęła co nieco i wypła kawę. Nim sięgnęła po dzbanek z sokiem, uprzedził ją Monty.

- Pozwól, że ci naleję. Robert jeszcze śpi? - spytał gładko, a widząc, że Daisy mimo woli się rumieni, dodał; - Nie obawiaj się, nie zdradzę waszej słodkiej tajemnicy.

- Nie ma żadnej tajemnicy, Monty.

- Nie? Robert też tak twierdzi. - Monty uśmiechnął się przebiegle. - Ale zgodził się dać mi łapówkę.

- Łapówkę? - Ile w obecnych czasach warta była reputacja? Czy niepokoił się o siebie, czy też o nią? Plotka, że spędził noc z Daisy Galbraith, nie wpłynęłaby w ogóle na jego wizerunek, jej zaś mogłaby tylko przydać intrygującej otoczki... George na przykład był-

by zachwycony. A jej matka... - Chyba nie spodziewasz się, że mnie sprowokujesz do zwierzeń? Doskonale wiesz, że ja i Robert jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi.

- Naprawdę? - Nalał soku pomarańczowego do jej szklanki. - Nie sądziłem jednak, że to aż tak poważne...

- W taką noc jak wczoraj nikt nie wygnałby nawet psa. - Zaczęła nerwowo zajadać jogurt, byle tylko uniknąć wzroku Monty'ego. - Nawet ciebie bym nie wyrzuciła... - W głębi duszy wiedziała, że ucieczka nie była najlepszym wyjściem z sytuacji, postanowiła odważnie stawić czoło Monty'emu. - Chcesz mnie przekonać, że jesteś draniem bez serca, Monty, ale ja w to i tak nie uwierzę.

- Och, do diabła! - Uśmiechnął się jak psotny uczeń.

- Nie powiesz o tym Robertowi, dobrze? Obiecał, że w zamian znajdzie mi dobrego doradcę podatkowego.

Dostała odpowiedź na swoje pytanie. Reputacja w zamian za usługi doradcy podatkowego. Dobrze, że nie wyobraziła sobie Bóg wie czego! Dobrze czasami poznać własną wartość, bo dzięki temu unika się megalomanii.

Roześmiała się szczerze, potrząsając głową.

- Nie zdradzę twojej tajemnicy - powiedziała.

Zanim zadzwonił telefon, spał i śnił o Daisy. Po gwałtownym

przebudzeniu, gdy o wiele za późno przypomniał sobie, gdzie jest i z kim, odwrócił się w nadziei, że zobaczy ją zwiniętą w kłębek, śpiącą słodko tuż obok.

Łóżko Daisy było puste.

Odruchowo dotknął ręką policzka, a potem patrzył zdumiony na lekko pobrudzone na czerwono palce. Rozpoznał od razu kolor szminki, jaką wczoraj pomalowane były usta Daisy. Czyżby mgliste wspomnienie pocałunku nie było snem?

- Daisy? - Drzwi do łazienki były uchylone, spakowana i zapięta torba stała przy drzwiach, a płaszcz nie było. Wstał i mimo wszystko zajrzał do środka. - Do licha! - Dopiero wtedy przyszło mu do głowy, że powinien sprawdzić, która godzina. Dochodziła dziewiąta.

Kochana dziewczyna! Pozwoliła mu dłużej pospać. Potarł dłońmi twarz. Potrzebował snu. Nadal potrzebował ośmiu godzin snu. Spojrzał na swe odbicie w lustrze, na słaby już ślad szminki na policzku. Dziwne, ale policzek był mokry... Dotknął palca językiem i wyczuł charakterystyczny, słony smak łez.

Pomimo zdenerwowania i przyprawiającego o mdłości podejrzenia, że za chwilę zrobi z siebie kompletną idiotkę, przynajmniej miała pewność, że pod jednym względem nie zawiedzie George'a -

nie będzie wyglądać na zaniedbaną. Najwyżej trochę mizernie. Przeszło padać, a nawet wyjrzało słońce i w dodatku Monty zaproponował, że ją podwiezie do rezydencji, nie musiała się zatem martwić, że na wyboistej drodze zniszczy drogie pantofle.

Gdy dojechali na miejsce, Monty od razu zniknął, by trochę powęszyć po zakamarkach siedziby Warburych, ona tymczasem zarejestrowała się, wzięła swój numerek i poszła po raz ostatni zerknąć na przedmioty, które zamierzała kupić. Z pozoru obojętną miną przeszła obok ławki, na której stały pudła z rzekomo niezbyt wartościowymi naczyniami kuchennymi. Gdy odwróciła się, by zająć miejsce pod wielką markizą rozpostartą przed domem, zauważyła stojącego w drzwiach Roberta. Nie miał zbyt szczęśliwej miny.

Robert od razu ją spostrzegł. Wyróżniała się w tłumie ludzi przybyłych na aukcję.

Jeszcze tydzień temu upierałby się, że wie wszystko o Daisy Galbraith. Ale, jak widać, mylił się sromotnie. Ta olśniewająca kobieta, którą dziś ujrzał, wydała mu się kimś obcym i w innych okolicznościach zapewne zrobiłby wszystko, by ją poderwać.

Nie chodziło tylko o sposób, w jaki złote loki wiły się wokół jej twarzy. Pięknie skrojony ciemnoczerwony kostium z krótką spódnicą odsłaniał zgrabne nogi. Ale przede wszystkim martwiło go, że dotąd

nie zauważył, na jak atrakcyjną kobietę wyrosła Daisy.

To bolało. Naprawdę bolało, że inni zauważyli to o wiele wcześniej...

- Powinnaś była mnie obudzić - powiedział bez wstępów z nutką żalu.

Daisy ledwie na niego spojrzała, tak była pochłonięta obserwowaniem przybywających na aukcję kolekcjonerów. A może szukała wzrokiem tej jednej jedynej twarzy?

- Spałeś tak słodko, że nie miałam serca - odparła. - Ale co się stało? Nie zdążyłeś zjeść śniadania?

Zirytowało go jej zuchwalstwo w takim samym stopniu jak fakt, że stała się zmysłową, pewną siebie kobietą. O wiele bardziej wolał cichą, nieśmiałą, słodką dziewczynę, jaką była do niedawna. Dziewczynę, która nigdy nie użyłaby takiego wyzywającego odcienia szminki...

A myśl o szmince przywołała wspomnienie porannego pocałunku i nagle oblała go fala gorąca, która zmyła całą irytację.

- Śniadanie to małe piwo - powiedział. - Dzwoniła do ciebie twoja siostra.

- Sarah? - Daisy zmarszczyła brwi. - Po co?

- Nie mam pojęcia. Spieszyła się, by odłożyć słuchawkę i przekazać wszem i wobec nowinę, że spędziliśmy razem noc, więc zapo-

mniała zostawić wiadomość.

- Powiedziałeś jej, że spędziliśmy razem noc?

Ależ ona jest opanowana! Kiedy się tego nauczyła?

- Nie. Sama musiała dojść do takiego wniosku, ponieważ to ja odebrałem telefon. Spałem, gdy zadzwoniła, byłem na wpół przytomny... Powinnaś była mnie obudzić.

- O Boże! - Głos jej lekko się załamał. - Naprawdę mi przykro.

- Za co mnie przepraszasz?

- Wyglądasz na zdenerwowanego. Takie plotki zapewne nie wpłyną korzystnie na twój wizerunek.

- Na mój wizerunek? Jaki wizerunek? O czym ty, u diabła, mówisz? A co z tobą?

- Ja nie mam żadnego wizerunku, Robercie. - Wydawało się, że nad czymś się gorączkowo zastanawia. - Ale, jak sędzę, dzięki takim plotkom mogę go zyskać. Posłuchaj, może jednak poszukamy jakiegoś miejsca, nim wszystkie zostaną zajęte.

Przez jedną ulotną chwilę Daisy miała wrażenie, że wzbija się w powietrze. Wszyscy pomyślą, że Robert Furneyal jest jej kochankiem! Takie marzenie powierzyła już wiele lat temu swojemu pamiętnikowi... Nigdy nie kochała się w gwiazdach filmu czy estrady. Istniał tylko Robert. Marzyła, że pewnego dnia spojrzy na nią tak, że zobaczy w jej oczach cały świat i wreszcie zrozumie, iż są dla siebie

stworzeni. I przez chwilę, przez jedną cudowną chwilę, myślała, że to marzenie się ziści.

Ale pamiętnik nastolatki miał tyle wspólnego z prawdziwym życiem, co fajans z porcelaną. Nie pozostawało zatem nic innego, jak obrócić całą tę historię w żart. Robiła to przez całe życie, miała wprawę. Nawet Monty jej uwierzył. Wszyscy inni też uwierzą. Tylko Robert wyglądał na zmieszanego. Czyżby naprawdę sądził, że jego droga przyjaciółka zacznie się trząść jak galareta i oświadczy, że nigdy więcej nie będzie mogła pokazać się ludziom na oczy?

- Nie martw się - odezwała się w końcu, biorąc go pod rękę. - Zadzwońię do Sarah, gdy tylko wrócę do domu. Wszystko wyjaśnię.

- Myślisz, że ci uwierzy?

- A dlaczego nie? Zrobiłaby to samo dla przyjaciela, który znalazłby się w trudnej sytuacji. - Nawet Sarah po kilku minutach namysłu będzie musiała przyznać, że pomysł, iż jej młodsza siostra i Robert Furneval zostali kochankami, jest niedorzeczny. - Na pewno mi uwierzy.

Ale co na to jej kochanek?! Jak on to przyjmie? Robert pomyślał, że na jego miejscu nie byłby taki łatwowierny.

- Cóż, jeśli miałbym wybór między dzieleniem pokoju z Sarah a potopem, wybrałbym potop - oświadczył Robert poważnie.

- To fakt, ona dużo mówi.

- Mogę cię jednak zapewnić, że dziś rano całkiem zapomniała języka w buzi.

Zajęli dwa wolne miejsca w centralnej części widowni. Daisy usiadła z brzegu, by móc lepiej widzieć. Licytacja się rozpoczęła.

- Czy to już koniec? - zapytał Robert dwie godziny później, gdy Daisy przelicytowała wreszcie przeciwników i kupiła ostatnią rzecz, zaznaczoną przez George'a w katalogu. - Możemy pójść na kawę?

- Jeszcze nie.

- Myślałem, że to już wszystko, na czym ci zależało.

- Mam jeszcze chrapkę na pudło z naczyniami kuchennymi. - Niedowierzanie musiało być wyraźnie wymalowane na jego twarzy, ponieważ dodała: - To dla kogoś bliskiego.

- Rozumiem - powiedział chłodno. - Ale jak zamierzałaś przytargać to wszystko do Londynu?

Miała zakłopotaną minę.

- Przecież mnie podwieszysz, prawda? - zreflektowała się szybko.

- A jeśli bym nie przyjechał?

- Jakoś bym sobie poradziła.

Oto odpowiedź, do kogo dzwoniła wczoraj wieczorem! Miał nadzieję, że dowie się więcej przy płaceniu rachunku za pokój, ale

Daisy dziś rano go ubiegła. To oczywiste, że ostrzegła swego kochanka, by nie przyjeżdżał.

- Tak, nie wątpię - skwitował krótko.

- Idź na kawę. Niedługo do ciebie dołączę.

- Nie, zaczekam.

- W takim razie przestań wymachiwać swoim numerkiem, zaraz okaże się, że zostałeś szczęśliwym właścicielem kartonu starych garnków. Daj go lepiej mnie.

Bez sprzeciwu oddał jej numerek i obserwował, jak chaotycznie i bez powodzenia licytuje karton za kartonem.

- Co ty wyprawiasz? - szepnął. - Chcesz to kupić, czy nie?

- Za odpowiednią cenę - odparła z uśmiechem.

Postukała numerkiem o kolano, gdy licytowano kolejny karton niezbyt cennej starej porcelany. Zalicytowała raz, potem znów. Jej rywal, siedzący kilka rzędów dalej po drugiej stronie, znów podbił cenę. Wydawało się już, że Daisy straciła zainteresowanie, ale gdy licytator zamierzał po raz ostatni uderzyć młotkiem, nagle podniosła numerek, jednocześnie wolno zakładając nogę na nogę. Nim jej przeciwnik ochłonął z wrażenia, karton był jej.

- Chodźmy, to już koniec - powiedziała wesoło.

- Jestem pod wrażeniem - rzekł Robert, patrząc na nią z podziwem. - To był najbardziej spektakularny przykład kobiecej przebie-

głości, jaki w życiu widziałem.

- Daj spokój! Ten facet łypał na mnie pożądlivym okiem przez cały ranek.

- A czego się spodziewałaś? Ta spódnica jest tak krótka, że prawie odsłania majtki. No i jeszcze te czarne pończochy...

- Rajstopy, dla ścisłości. Pończochy za bardzo przyciągałyby wzrok.

- Cieszę się, że to rozumiesz. - Chwycił ją za ramię, gdy się od niego odsunęła. - Ale co ty wykombinowałaś?

- Ja? - Spojrzała na niego wzrokiem niewiniątka. - Musisz jeszcze zapłacić rachunek, Robercie. Ten ostatni karton został wylicytowany w twoim imieniu.

Robert chętnie polemizowałby z tym poglądem, ale w końcu z rezygnacją wyjął książeczkę czekową i zapłacił za karton brudnych naczyń kuchennych.

- I co dalej? - zapytał.

- Idź po samochód, a potem ulokuj to pudło na tylnym siedzeniu. Bardzo ostrożnie. Rozwiązałam ci problem prezentu urodzinowego.

- Co to jest? - Robert zaniósł pudło na górę do mieszkania Daisy i teraz przyglądał się z dezaprobatą niezbyt pięknemu naczyniu, które trzymała w ręce.

- To siedemnastowieczne naczynie w stylu kakiemon oryginalne japońskie - wyjaśniła.

- Żartujesz?

- Ani trochę. - Ostrożnie ustawiła naczynie na przykrytym serwetą kuchennym stole. - Teraz jestem tego pewna.

- George Latimer tego nie zamówił?

- Poinformowałam George'a o tej okazji, ale mi nie zaufał. Zresztą, ty to kupiłeś.

- Skoro już mowa o pieniądzach, zwrócę ci za hotel, przynajmniej połowę... - odpowiedział.

- Nie ma potrzeby. To była rezerwacja na koszt Latimera. Za ciebie nie wzięli ani grosza, choć nie wiem dlaczego. Recepcjonistka powiedziała, że w tych okolicznościach nie będzie dodatkowych opłat. - Zmarszczyła brwi. - Właściwie, w jakich okolicznościach?

Robert przyłożył koniuszek kciuka do jej czoła.

- Nie marszcz brwi – powiedział. Musiał jakoś odwrócić jej uwagę. A potem, ponieważ wydawało mu się, że cały świat skurczył się do tego małego kawałeczka ciepłej, tętniącej życiem skóry, odsunął kciuk i pocałował małą zmarszczkę na jej czole. Szare oczy Daisy rozszerzyły się i pociemniały. Przez krótką chwilę, gdzieś głęboko w sercu, Robert poczuł, że cały świat mógłby się zmienić, gdyby on wypowiedział teraz te dwa najważniejsze słowa. Niestety, był pe-

wien, że Daisy nie potraktowałaby jego wyznania poważnie. Zamiast tego więc zmusił się do uśmiechu. - Zawsze trzeba się uśmiechać - dodał.

- Matka Ginny nie darowałaby mi, gdybym nie uśmiechała się na ślubnej fotografii. - Śmiech Daisy wydawał się wymuszony. Drżącą dłonią dotknęła rozpalonego czoła.

Robert chciał chwycić ją za rękę, objąć ramionami i mocno przytulić. Ale nie starczyło mu odwagi.

- Muszę już iść. - Podniósł porcelanowe naczynie. - Możesz mi to zapakować?

- Nie, zostaw. Ja je wyczyszczę i ładnie zapakuję. Mężczyźni nie potrafią pakować prezentów.

- Dlatego właśnie tę usługę oferują domy towarowe. Jesteś pewna, że nie chcesz zatrzymać tej zdobyczy dla siebie?

- Nie. Zamierzałam znaleźć dla Jennifer coś wyjątkowego, w dowód wdzięczności. Niedawno dowiedziałam się, że to ona poleciła mnie Latimerowi.

- W takim razie, będzie to prezent od nas obojga. W niedzielę są jej urodziny. Pojedziesz ze mną? Chyba nie jesteś zajęta?

Spojrzała na niego badawczo.

- Wiesz, że po raz pierwszy spytałeś mnie, czy nie jestem zajęta? Zwykle zakładasz, że jestem do twojej dyspozycji.

Czyżby naprawdę tak się zachowywał? Dlaczego tak długo pozwalala mu się w ten sposób traktować?

- Niczego z góry nie zakładam. Pytam, ponieważ chciałbym bardzo, żebyś ze mną pojechała. Pojedziesz?

Po krótkiej chwili wahania odpowiedziała:

- Muszę przyznać, że marzę, by zobaczyć minę Jennifer podczas rozpakowywania prezentu. Ale nie przyjeżdżaj o wpół do ósmej rano. W sobotę jest wieczór panieński Ginny, w niedzielę mogę mieć lekkiego kaca.

- My szalejemy w piątek.

- Mam nadzieję, że nie wylądujecie w areszcie. Ginny by wam tego nie darowała.

- Nie martw się. Jeszcze nigdy nie wpakowałem żadnego pana młodego w tarapaty.

- W takim razie, baw się dobrze.

Zatrzymał się, przypominając sobie, że gdy ostatnio zegnali się w tych drzwiach, pocałował ją. Ale tamten pocałunek był spontaniczny. Teraz byłoby zupełnie inaczej... Niespodziewanie Daisy otarła się policzkiem o jego policzek i zamknęła drzwi.

To już stało się tradycją. Żegnając się z Robertem, czuła się tak słaba, że nie miała odwagi puścić klamki.

Przed chwilą, gdy przystanął w drzwiach, była pewna, że przy-

pomniał sobie, jak ją pocałował. Oczywiście, to śmieszne. Dlaczego miałby o tym pamiętać?

Zamknęła oczy i głośno jęknęła. Czy kiedykolwiek uda jej się o tym zapomnieć?

Zadzwonił telefon. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, ale gdy zmusiła się, aby odejść od drzwi i podnieść słuchawkę, zauważyła, że na sekretarce nagranych jest aż sześć wiadomości. Od matki, siostry, George'a...

- Daisy, dzwonię i dzwonię. - To była jej matka.

- Dopiero wróciłam z aukcji.

- Jak poszło?

- Kupiłam wszystko, co zaplanowałam. Masz do mnie jakąś sprawę? Chcę wziąć prysznic - dodała.

- Nie, nic szczególnego. Sarah próbowała się z tobą skontaktować. Podałam jej nazwę hotelu... Ciekawe, czy cię odnalazła? - U pani Galbraith wrodzone wścibstwo walczyło z poczuciem taktu.

- Przekazano mi, że dzwoniła - odpowiedziała Daisy wymijająco. - Może wiesz, czego chciała?

- Chciała cię prosić, byś popilnowała dzieci w piątek wieczorem.

- I po to dzwoniła do mnie do Warbury?

- Znalazła się w rozpaczliwym położeniu. Wydaje dobroczynną kolację, a ja jestem tego dnia zajęta i nie będę mogła zająć się wnu-

kami.

- W porządku, mamó. - Daisy roześmiała się. - Nie martw się, nie zawiodę jej.

- A jak wypadła wizyta u fryzjera?

- Był pełen optymizmu. Uważa, że nie popsuję ślubnej fotografii.

- I to wszystko...?

Matka robiła nadludzkie wysiłki, by cokolwiek z niej wyciągnąć. Miała jednak problemy z zadaniem najbardziej nurtującego ją pytania, które brzmiało: „Czy spędziłaś noc z Robertem Furnevalem?”. Przecież to łatwe. I odpowiedź: „Trudno powiedzieć. I tak i nie. Ale raczej nie”.

- Przyjedziesz na weekend? - spytała wreszcie matka, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- W niedzielę jedziemy z Robertem do Jennifer - wyjaśniła Daisy.

- Tak? - W głosie pani Galbraith słychać było niedowierzanie i ciekawość. - Jakaś szczególna okazja?

- To jej urodziny. Na aukcji znalazłam dla niej coś specjalnego i Robert chce, by był to prezent od nas obojga.

- Zaniosę jej kwiaty - oświadczyła matka.

- Na pewno będzie zachwycona. Wpadnę do ciebie na chwilę.

Przywiozę suknię na ślub. - Należało jak najszybciej zmienić temat. - Ale nie wiem jeszcze o której godzinie.

- Wspaniale.

Po zakończeniu rozmowy z matką Daisy włączyła automatyczną sekretarkę i usłyszała głos swojej siostry: „Daisy? Tu Sarah. Byłam tak zaskoczona, gdy Robert podniósł słuchawkę, że zupełnie zapomniałam, po co dzwoniłam. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. On nie jest materiałem na męża, a moim zdaniem ty należysz do kobiet wiernych jednemu mężczyźnie. Czy możesz w piątek wieczorem popilnować dzieci? Andy wychodzi na wieczór kawalerski Mike'a, a ja mam przyjęcie dobroczynne na rzecz lokalnego hospicjum. Opiekunka do dzieci złapała grypę... Jestem w beznadziejnej sytuacji”.

Ach, więc to tak. Matka okazała niewiarygodną powściągliwość, podobnie Sarah. Daisy westchnęła i odsłuchiwała następną wiadomość: „Daisy? Kupiłaś tę sztukę? - To był George. - Czy to prawdziwy kakiemon?”

Reszta telefonów była głucha. Prawdopodobnie dzwoniła ponownie matka, Sarah albo George.

Robert rzucił marynarkę na krzesło i podszedł do telefonu. Był przekonany, że zaraz oszaleje. Nie potrafił przestać myśleć o Daisy.

- Mike? Musisz mi powiedzieć, kto to jest!

- Spokojnie, Robercie. W czym problem? O co ci, do licha, chodzi?

- Chodzi o Daisy. Ona jest moim problemem. Nosi pantofle na wysokich obcasach, spódnicę odsłaniającą całe nogi i czarną bieliznę... Doprowadza mnie do szału!

- Czarną bieliznę?

- Z kim ona się widuje, Mike?

- To od ciebie wiem, jakiego koloru majtki nosi moja siostra. Poza tym nie przypominam sobie, bym twierdził, że ona się z kimś spotyka.

- Ale powiedziałaś...

- Powiedziałem, że kogoś kocha. A to pewna różnica.

- Rozumiem - powiedział Robert po krótkim namyśle. - To oznacza, że zachowałem się jak idiota. A więc ona wcale nie ma romansu? - Robert, usiłując opanować gonitwę myśli, tak mocno ścisnął słuchawkę, że pobielwały mu palce. I nie było żadnego kochanka... Poczul ulgę. Była jednak zakochana... - Kto to jest? - zapytał. - W kim ona jest zakochana? Czy ja go znam?

Nastąpiła długa i wymowna cisza.

- Tak - powiedział w końcu Mike.

- Na litość boską, zlituj się nade mną, Mike!

- Niestety, nie mogę. Ale dam ci pewną wskazówkę. Elinor Ja-

mes. - Mike zachichotał. - Do zobaczenia w piątek.

Robert odłożył słuchawkę, usiadł w fotelu i zatopił twarz w dłoniach. Daisy tak bardzo kochała jakiegoś nieznajomego mężczyznę, że mimo braku wzajemności nie była w stanie związać się z nikim innym.

Niechętnie przyznał, że właściwie jest bez szans. Wyidealizowany w wyobraźni ukochany był rywalem nie do pokonania. Ów ideał mógł zapominać o urodzinach i rocznicach, ponieważ nikt nawet nie spodziewał się, że będzie o nich pamiętać. Nie mógł powiedzieć niczego niewłaściwego, nie mógł zachować się nieodpowiednio... Był kochany po prostu za to, że w ogóle istniał.

Skąd on to znał? Przypomniawszy sobie Elinor James. To kiedyś była jego wielka miłość. Sam jej widok podniecał każdego chłopaka ze szkoły. Szesnaście lat, jedwabiste blond włosy długie na pół metra i skóra, jakby przeświecona słońcem...

Co Mike miał na myśli, przypominając mu właśnie Elinor James?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Niedziela, drugi kwietnia. Siostra Ginny potrafi wydawać doskonale przyjęcia. Nikt nie wspomniał o Robertcie. Nawet Sarah, mimo że słowo „dyskrecja” nie figuruje w jej słowniku. Może bała się, że przebiję ją na wylot szpadą Zorro?

Daisy była ubrana raczej wygodnie niż elegancko. Luźne spodnie, miękka koszula i ulubiony sweter z angory.

- Wyglądasz... - Robert nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa.

- Wygodnie? - dokończyła.

- Zamierzałem powiedzieć, że przytulnie, ale przyszło mi do głowy, że możesz nie uznać tego za komplement.

Czy naprawdę niepokoił się, że ją urazi?

- Masz na myśli, że wyglądam jak pluszowy miś? Sweter z angory rzeczywiście trochę przypomina futerko.

- Mogę dotknąć?

Nim zdążyła go powstrzymać, zamknął ją w niedźwiedzim uścisku i przytulił tak mocno, że cały świat zawirował jej przed oczami. Poczowała chłodny dotyk jego policzka i lekkie drapanie brody.

- Może masz rację - powiedział, rozluźniając uścisk i gładząc miękka, puszystą wełnę. Potem odsunął się na odległość ramienia. Uśmiechnął się. - Jesteś gotowa?

- Na następny uścisk?

- Gotowa do wyjścia - wyjaśnił i roześmiał się głośno.

Aż jęknęła w duchu, że dała się nabrać na taki banalny trik. Mało brakowało, a uległaby pokusie. A przecież powinna wiedzieć, że właśnie w taki sposób Robert postępował z kobietami - uścisk, trochę żartów, a potem śmiech zabarwiony kpina. Ale ona nie da się omamić!

- Możemy pościskać się później, jeśli chcesz - dodał.

- Wielkie dzięki. - Podała mu pudło z suknią drużyny. - Zanieś to do samochodu. Przyniosę prezent dla twojej matki.

- Jak udało się wczorajsze przyjęcie? - Robert zerknął na nią, gdy pędzili przez Knightsbridge.

- To był bal! W roli Zorro odniosłam wielki sukces. A jak przyjęcie u Mike'a?

- Żadnych skarg. Czy Sarah wspominała o Warbury?

- Zwierzyła się tylko automatycznej sekretarce. Od tamtej pory ani słowem o tym nie wspomniała. Myślę, że kombinacja mrożonej margarity i chili pomaga trzymać język za zębami.

- Co powiedziała? A może nie powinienem pytać?

- Wolałabym zapomnieć o tym incydencie. - Ziewnęła. - Przepraszam, Robertcie, ale ledwie patrzę na oczy.

- Rozłóż sobie fotel i zdrzemnij się - zaproponował. - Nie chcę, byś zasnęła z głową w torcie urodzinowym.

Odchyliła do tyłu oparcie fotela, położyła się i zamknęła oczy, zadowolona, że dzięki tej wymówce uniknie rozmowy na temat nocy w Warbury Arms. Od tamtej pory ze wszystkich sił próbowała o tym nie myśleć. Bez rezultatu. Miała dziwne wrażenie, że wszyscy wiedzieli, ale bali się o cokolwiek zapytać i... czekali. Właściwie, na co czekali? Nie miała pojęcia.

Westchnęła, przypominając sobie, jak rano w dniu aukcji pocałowała Roberta na pożegnanie. Łza, która wtedy spłynęła po jej policzku, zaskoczyła ją. Wówczas jeszcze tego nie rozumiała, ale w ciągu minionych dni, narastało w niej wrażenie, że słowo „żegnaj”, które szepnęła w ciemności, było jak najbardziej na miejscu. Po ślubie wyjedzie. Zostawi Londyn, Latimera. Zostawi Roberta.

Nadszedł czas, aby zrealizować marzenia. Przynajmniej te, które mogła urzeczywistnić. Chiny, Ameryka, Japonia...

Robert zaparkował Astona przed domem swojej matki i przez chwilę obserwował śpiącą Daisy. Pod powiekami, delikatnie muśniętymi cieniem, jej gałki oczne poruszały się tak gwałtownie, jakby śniła. Zastanawiał się, o czym...

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, na jej rzęsach zabłysła łza i wolno potoczyła się po policzku. To nim wstrząsnęło.

- Och, moja kochana - wyszeptał i wierzchem dłoni pogłaskał ją

po policzku. Gdy dostrzegł następną łzę, nie mógł się powstrzymać i znów ją pogłaskał. Powieki jej zadrżały, zamrugała gwałtownie, wreszcie otworzyła zdumione oczy.

- Chodź, moja śpiąca królewno - powiedział z uśmiechem. - Jesteśmy w domu.

- Naprawdę? - Lekko zadrżała. - Musiało mi się coś śnić. Myślałam, że jestem w Japonii... Przepraszam - powiedziała, wycierając kąciki oczu. - Chciałam uciąć sobie tylko krótką drzemkę. - Gdy zobaczyła w drzwiach Jennifer, nie czekając na Roberta, wysiadła i pobiegła ścieżką. - Wszystkiego najlepszego, Jennifer! - Uściskała ją mocno. Kiedyś, dawno temu, gdy była małą dziewczynką, w taki właśnie sposób witała się z Robertem. Rzucała mu się na szyję i gorąco go ściskała. Nie potrafiła już sobie przypomnieć, kiedy te uściski zamieniły się w uprzejme i konwencjonalne pocałunki w policzek.

- Chętnie zostałabym dłużej, ale obiecałam mamie, że wpadnę pokazać jej suknię - powiedziała Daisy. - Ona tak bardzo pragnie ją zobaczyć.

- Zanieść ci pudło?

- Nie, dam sobie radę. Lepiej pomóż mamie przy zmywaniu. Ale jeśli nie wrócę za pół godziny, proszę, przybądź mi na ratunek. Przyrowadź Majora i zaproponuj spacer. Flossie też przyda się tro-

chę ruchu.

- Cóż to za urocza dziewczyna, Robercie. - Jennifer stanęła przy synu i razem patrzyli na odchodzącą Daisy. - I bardzo inteligentna. Właściwie powinna zatrzymać to naczynie dla siebie. Albo je sprzedać. Ona marzy o podróży do Chin i Japonii, a to kosztuje.

Japonia! A więc śniła o Japonii.

- Nawet nie chciała o tym słyszeć. - Odwrócił się do matki. - Opowiedz mi o niej.

- Znasz ją przecież od dziecka.

- To prawda, a mimo to niewiele o niej wiem. W zeszłym tygodniu... Cóż, poczułem się tak, jakbym spotkał całkiem nieznaną osobę.

- Rozumiem. - Usta Jennifer drgnęły niemal niepostrzeżenie.

- Co rozumiesz? - Czuł się jak ostatni głupek. Wszyscy wszystko rozumieli, tylko on nie miał o niczym zielonego pojęcia.

- To nie Daisy się zmieniła. To ty się zmieniłeś.

- Nieprawda! Przecież widzisz tę dziewczynę - gestem pokazał na okno - w za dużych spodniach, starym swetrze i z niewidocznym makijażem.

- Uważam, że w tym swetrze wygląda naprawdę uroczo.

- Tak, słodko... - I tak seksownie, że od razu pomyślał, by zdjąć

go z niej i ściskać ją bez końca. Zmusił się, by wrócić myślami do sedna sprawy. - Ale szkoda, że nie widziałaś jej w stroju służbowym. Krótka spódnica, ciemnoczerwona szminka i czarne pończochy...

- Na pewno rajstopy - wtrąciła matka.

Robert popatrzył na nią ze złością. Mogłaby potraktować jego problemy bardziej poważnie. Tymczasem ona powiedziała:

- Przykro mi, Robercie, ale nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi. Chyba nie spodziewasz się, że Daisy będzie pracować w galerii sztuki na West Endzie ubrana w wytarte dżinsy?

- Masz rację... - Przypomniał sobie strój, w jaki była ubrana podczas ich ostatniego wspólnego lunchu i westchnął.

- Na spotkania ze mną nigdy się tak nie ubierała, bez względu na to, czy pracowała, czy nie. - Chociaż mała, wyszywana koralikami torebka powinna dać mu nieco do myślenia. W połączeniu ze zgrzebnymi spodniami wyglądała dość szokująco. Jednak do czerwonego pasowałaby wręcz idealnie.

- A chciałbyś, żeby na wasze spotkania wkładała bardziej seksowne szmatki?

- Ależ skąd! - Wzruszył ramionami. - Zresztą, może... - Przechesał palcami włosy. - Sam nie wiem, czego chcę.

- Myślę, że już wiesz, tylko nie jesteś jeszcze gotów, by się do

tego przyznać.

- To byłoby bez sensu, prawda? Mówimy przecież o Daisy. Nie potrafiłbym jej zranić.

- Wiem o tym.

- W takim razie, chyba rozumiesz moje wahanie.

- Uważasz, że jesteś podobny do ojca, prawda? Dlatego unikasz stałych związków. - Gdy Robert wzruszył ramionami, ciągnęła: - Nie powinieneś przywiązywać do jego zachowania zbyt wielkiej wagi. Przecież odeszłam od niego, gdy miałeś siedem lat. I wychowałam cię zupełnie inaczej.

- Mam już trzydzieści jeden lat i nigdy nie spotkałem kobiety, która przykułaby moją uwagę na dłużej niż na kilka tygodni...

- Prócz Daisy.

Nie zaprzeczył. Przecież Monty powiedział coś bardzo podobnego.

- Prócz Daisy - powtórzył. - Dlaczego tak długo nie zdawałem sobie z tego sprawy? - Major otarł się o jego nogi, a Robert pochylił się i pogłaskał psa po jedwabistych uszach.

- Nigdy nie jest za późno - odezwała się matka. - Tylko czasami może być za wcześnie. Przez długi czas Daisy była za młoda. Gdy miała szesnaście lat, bałam się, by nie popełniła jakiegoś głupstwa. - Jennifer mówiła bardzo spokojnie. - Obawiałam się również, że ty

możesz zrobić coś bardzo głupiego... Pamiętasz to Boże Narodzenie, gdy pocałowałaś ją pod jemiolą?

- Jemiola... - Miał wrażenie, że stracił oddech, gdy ulotne wspomnienie wyłoniło się w jego pamięci. A potem już bardzo wyraźnie zobaczył słodkie, smutne i tęskne spojrzenie, które sprawiało, że każdy mężczyzna stawał się miękki jak wosk. - Nie zdawałem sobie sprawy, że ktoś to widział - przyznał z zadumą.

- Powiedziałabym, że znalazłeś się w innym świecie... - Urwała. - Czy się pomyliłam?

- Nie. - Potrząsnął głową. - Zrobiłaś coś wówczas! Dopiero teraz na to wpadłem. Co takiego zrobiłaś, mamó?

- Zadzwoiłam do twego ojca i poprosiłam, żeby zabrał cię na narty. A potem, ponieważ Daisy chodziła taka smutna, a ja czułam się winna, zabrałam ją na kilka dni do Londynu. Zwiedziłyśmy British Museum i Muzeum Wiktorii i Alberta. - Spojrzała na syna uważnie. - Czy pamiętasz, że zawsze gdy tylko usłyszała, że przyjechałeś do domu, wpadała tu przez tylne wejście? W roku, w którym zrobiłeś dyplom, nie potrafiła sobie znaleźć miejsca. Gdy w końcu przyjechałeś, ubiegła ją Lorraine Summers.

- Lorraine?

- Wyszła później za męża za prawnika z Maybridge. Ma teraz trójkę dzieci.

- Wiem, za kogo wyszła Lorraine Summers! - powiedział opryskliwie. - Ale co ona ma z tym wspólnego?

- Przypuszczam, że Daisy zobaczyła, jak ją całujesz. - Odwróciła się i spojrzała synowi prosto w oczy. - Już nigdy później do nas nie przyszła, gdy wiedziała, że jesteś w domu.

- Ale przecież to śmieszne! - wybuchnął. - Przez cały czas ją widuję.

- Nie, kochanie. Widujesz ją, gdy się z nią umawiasz. Zapraszasz ją na lunch, na przyjęcia, ale nie spotykasz jej przypadkowo, prawda?

- Nie. Ale Londyn to nie nasza wieś... Gdy jestem w domu, widuję ją przez cały czas...

- Widujesz ją, kochanie, ale tylko taką, jaką ona chce, byś ją widywał. Czy spodziewała się ciebie w Warbury?

- Nie. - Poczuł, że robi mu się gorąco z wrażenia.

- No tak. Przypuszczałam, że zadzwonisz do niej i dopiero wtedy jakoś się z nią umówisz - powiedziała Jennifer. - Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że popędzisz za nią na oślep. - Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. - Gdybym to wiedziała, lepiej bym wszystko zorganizowała.

- Niczego byś lepiej nie zorganizowała - zapewnił ze złością. - Ale nie pojechałem do Warbury wyłącznie z powodu twojej prośby.

To był tylko pretekst.

- Dlaczego więc tam pojechałeś? - Zaczęła ustawiać filiżanki na tacy.

- Martwiłem się o nią. Mike powiedział mi, że jest w kimś zakochana. To brzmiało niepokojąco. Pomyślałem, że może mieć romans z żonatym mężczyzną.

- Daisy? - Roześmiała się szczerze. - To znaczy, że pognałeś do Warbury, by wyrwać Daisy z ramion jakiegoś uwodziciela? Och, kochanie, jakie to romantyczne!

- Gdy głębiej się nad tym zastanowiłem, doszedłem do wniosku, że działałem pod wpływem zwykłej zazdrości. Byłem wściekły, że ktoś sięgnął po coś, co należy do mnie. Po mój skarb...

- Po Daisy.

- Tak, do diabła, po Daisy! Teraz widzę, że Mike mnie do tego popchnął. To on sprawił, że zacząłem o niej myśleć. - Przeczesał palcami włosy. - I, na Boga, udało mu się. Od kilku dni nie mogę myśleć o niczym innym!

Jenmfer roześmiała się, a Robert wyjął jej tacę z rąk i zaniósł do kuchni.

- Zawsze podejrzewałam, że gdy Daisy trochę podrośnie, zostanie parą. Ale, pamiętaj, Daisy nie nadaje się na „zabawkę Furne-
vala”.

- Na litość boską, mamo!

- Czy nie tak je nazywają? - A gdy nie odpowiadał, ciągnęła: - Ona należy do tych dziewczyn, dla których miłość trwa aż po grób, Rob. - Położyła dłoń na jego ramieniu. - Będziesz musiał przekonać ją, że jesteś wart jej uczucia.

- Jak z Elinor James... - mruknął pod nosem.

- Co mówisz, kochanie?

- Nic. Mike o niej wspomniał. - Elinor James mogła mieć u swoich stóp każdego chłopaka w szkole. I jego też, ale nie chciał się do tego przyznać. Dumnie trzymał się od niej z daleka. Przyjaciele nawet zakładali się, jak długo uda mu się wytrzymać. Aż w końcu zaczęli się zakładać, kiedy ona zaprosi go na randkę. Czy w podobny sposób obserwowano go również teraz?

Monty na pewno. Większość życia spędził na podglądaniu ludzi, zwłaszcza tych, którzy często robili z siebie głupków. Widział różne związki, śledził wzloty i upadki zakochanych.

Mike także musiał o wszystkim wiedzieć od bardzo dawna. Prawdopodobnie nigdy by się nie zdradził, ale upojony szczęściem, nie mógł się powstrzymać, by nie dać przyjacielowi jakiejś wskazówki. Do licha, czyżby Mike wiedział, że potrzeba tylko trochę zwykłej, niemodnej już zazdrości?

Przesunął dłonią po twarzy i zobaczył, że jego matka na coś

czeka. Czyżby i ona wiedziała?

Nagle wszystko stało się tak jasne i oczywiste, że zaczął podejrzewać, iż był ostatnim człowiekiem na świecie, który dostrzegł prawdę.

- Miałaś rację - odezwał się w końcu. - Na temat Daisy. Ale również się pomyliłaś. Ja wiedziałem, że ona była za młoda... Bawiłem się przez te lata, czekając, aż ona dorośnie. A gdy dorosła, byłem... zbyt zajęty rozrywkami. Czy uda mi się ją przekonać, że tym razem to poważna sprawa? Czy Daisy będzie potrafiła mi zaufać?

- A chcesz tego naprawdę?

- Tak.

Jennifer poklepała syna po ramieniu.

- Idźcie już na ten spacer. Wybierzcie się do sadu, może pod jemiołą uda wam się odnaleźć tamten magiczny świat.

- Przyniosłaś suknię! - Margaret Galbraith wyjęła z rąk Daisy pudło i zaniósła je na górę. - Och, Daisy, jaka piękna! - zachwycała się, unosząc do góry bibułkę. - Włóż ją. Chcę zobaczyć, jak wyglądasz.

- Nie jestem uczesana i nie mam odpowiednich butów - zaprotestowała Daisy.

- Mam wystarczająco bujną wyobraźnię. O, mój Boże, tylko

spójrz! - Podniosła do góry koronkowy stanik nafaszerowany drutami.

- Jak wiesz, potrzebuję niewielkiej pomocy - wyjaśniła Daisy, zadowolona, że choć na chwilę udało jej się odciągnąć uwagę matki od wydarzeń w Warbury. - Ten fason sukni tego wymaga. Zawołam cię, gdy już się przebiorę, dobrze?

- Zejdź potem na dół. Tata też chce cię zobaczyć.

Wkładając wytworną, koronkową bieliznę, Daisy czuła się jak sześciolatka, która szykuje się do pierwszego występu na scenie. Zapięła w końcu suwak i zmierzwiła włosy. Martwiło ją nie tyle samo paradowanie w sukni, co nieuchronny wyraz dezaprobaty, jaki spodziewała się zobaczyć na twarzy matki. Nigdy nie potrafiła jej dogodzić...

- Już schodzę. Zamknij Flossie w kuchni, dobrze? - Wzięła głęboki oddech i unosząc nieco miękko udrapowaną, białą spódnicę, zeszła na dół.

Przez chwilę żadne z rodziców się nie odezwało.

- I jak? - odważyła się spytać.

- Wyglądasz uroczo, Daisy! - powiedział ciepło jej ojciec i zwrócił się do żony: - Nieprawdaż, Margaret?

- Wydawało mi się, że żółty będzie dla niej prawdziwą katastrofą, ale okazuje się, że bardzo się myliłam... Góra jest bardzo pro-

sta i gustowna, a biała spódnica taka zwiewna i lekka. Świetne zestawienie! Oczywiście, pozostałe druhnny, ze względu na ciemne włosy, będą wyglądać bardziej efektownie, niemniej przy odpowiednim makijażu... Odwróć się, kochanie.

Daisy właśnie posłusznie robiła obrót, gdy nieoczekiwanie w drzwiach stanął Robert. Spoglądał na nią w jakiś dziwny sposób, którego znaczenia nie potrafiła zrozumieć. Nie dostrzegła w jego oczach ani drwiny, ani żartobliwego błysku... To było dokładnie takie spojrzenie, o jakim zawsze marzyła. Intensywne, przenikliwe, sięgające w głąb duszy.

- Wydaje mi się, że z każdym dniem kaczątko staje się coraz bardziej podobne do łabędzia - skomentował, nie zdając sobie sprawy, że wszyscy mu się przyglądają. - Tylne drzwi były otwarte - wyjaśnił pośpiesznie. - Zostawiłem Majora w sieni. - A potem nagle uderzył się w czoło. - Och, nie, tylko mi nie mów, że to przynosi pecha, gdy drużba zobaczy druhnę przed ślubem!

Ojciec Daisy zaczął się śmiać, matka poszła jego śladem.

- Lepiej pójdę się przebrać - powiedziała Daisy.

Musiała poczekać, aż Robert zrobi jej przejście, ale on wcale się z tym nie spieszył.

- Niepotrzebnie martwiłaś się z powodu tego koloru - powiedział z uśmiechem. - Doskonale pasuje do twoich włosów. - Pocią-

gnął ją za wystający kosmyk. Najwyraźniej żartował. Ale były to żarty skierowane do widowni, nie do niej.

- Łabędzica, rzeczywiście! - Matka z urażoną miną wypchnęła Daisy z pokoju i poszła za nią na górę. Czyżby się obawiała, że Robertowi może wpaść do głowy zaoferowanie pomocy przy rozpinaniu haftek? - Nie pozwól, by ten złotousty zawrócił ci w głowie - mruknęła.

- To się nigdy dotąd nie zdarzyło - powiedziała Daisy, rozpinając haftki stanika.

- Bo nigdy przedtem nie próbował - powiedziała z naciskiem. - Jest taki sam jak jego ojciec.

- Nie wiedziałam, że znasz ojca Roberta.

- Nie znam, ale widziałam jego zdjęcie. Rzeczywiście, jest bardzo przystojny... - Powiesiła suknię na wieszaku. - Dwadzieścia lat minęło od rozvodu, a biedna Jennifer nadal trzyma jego fotografię przy łóżku. Taka przystojna kobieta, a nigdy nie widziałam jej z innym mężczyzną. - Powiesiła suknię w szafie i zaczęła owijać ją bibułą. - Robert jest bardzo podobny do ojca. Tak samo przystojny i pełen uroku... To piorunująca mieszanka.

- Już to mówiłaś.

- I zachowuje się tak samo - ciągnęła niestrudzenie. - Cóż, jaki ojciec, taki syn.

- Mamo... - Chciała wszystko wyjaśnić, zapewnić, że w Warburry nic się nie stało, ale, o dziwo, zamiast tego powiedziała zupełnie coś innego: - Mam dwadzieścia cztery lata. I znam Roberta od zawsze. Ufam mu. Nie zrobiłby nic, co mogłoby mnie zranić.

Przez moment matka wyglądała na przestraszoną.

- Wiem o tym - powiedziała z westchnieniem. - Przepraszam. Prawię ci kazania, jakbyś nadal była dzieckiem. Ale oczywiście dla mnie zawsze nim będziesz. Zresztą wy wszyscy... Sarah zawsze mi powtarza, że traktuję ją jak nastolatkę, pouczając, jak ma wychowywać dzieci. A przecież jest doskonałą matką. Ale gdy gniazdo puste, cóż nam pozostaje...?

- Należy cieszyć się życiem, mamo. Najlepiej pomyśl o wakacjach. - Daisy objęła matkę ramionami. - W przyszłym tygodniu, gdy już będzie po ślubie Michaela i emocje opadną, poczujesz się przygnębiona. Jest kwiecień. Poproś ojca, żeby cię zabrał do Paryża. Albo sama zarezerwuj bilety i ty go zabierz. Nie trzeba być świeżo po ślubie, żeby wyjechać na miodowy miesiąc.

Ledwie Daisy otworzyła drzwi, Flossie, która już od dawna piszczała z podniecenia w kuchni, wprost rzuciła się na Majora, po czym we dwójkę wypadli z domu i popędzili w stronę rzeki.

- Tam będzie błoto - zauważył Robert.

- Którędy idziemy?

- Tędy.

Daisy miała ochotę zrobić jakąś sarkastyczną uwagę, ale gdy spojrzała na Roberta, wydał jej się tak głęboko pogrążony w myślach, że dała spokój i przez chwilę szli w zupełnym milczeniu..

- Flossie! - krzyknął w końcu na spanielkę, która przedzierała się przez żywopłot. - Na litość boską, to najgorzej wychowane zwierzę...

- Nie bądź taki spięty!

- Przepraszam. - Zerknął na nią, zatrzymując się przed bramą prowadzącą do starego sadu przy kościele.

- Drzewa jeszcze nie kwitną - powiedziała, gdy otwierał przed nią furtkę.

- Nie szukam kwiatów, szukam jemioli - odparł. - Czasami rośnie na jabłoni. W każdym razie na tej zawsze ją widziałem. - Zatrzymał się pod starym drzewem. Miał dziwny, nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Myślę, że nie warto się tu zatrzymywać - powiedziała, zdumiona nieco jego tajemniczym zachowaniem. - Gdzie się podziały psy?

Gdy się odwracała, złapał ją i zmusił, by stanęła z nim twarzą w twarz.

- Pamiętasz te święta, kiedy miałaś szesnaście lat? Pocałowałem cię wtedy pod jemiolą.

Przełknęła ślinę. Oczywiście, że pamiętała.

- Tak. - Jej pierwszy pocałunek. Słodki, wyjątkowy...

- Wziąłem ją z tego właśnie drzewa - powiedział, spoglądając do góry. - Jestem pewien, że to było tutaj...

- W tym roku mają zamiar wyciąć ten sad. - Nie wiedziała, jak się zachować, ale usiłowała za wszelką cenę zmienić temat.

- Pamiętasz, co wówczas powiedziałem? - Nie dawał się zbić z tropu.

Czy kiedykolwiek mogłaby zapomnieć, co powiedział jej tamtego wieczora?

- A ty pamiętasz? - spytała.

- Zapomniałem. - Przesunął ręką po jej ramieniu w czulej pieśczoce, jakby chciał złagodzić ból, który jej zadał tym wyznaniem. - Wiem, że coś... specjalnego, nieuchwytnego... Wiesz, jak to jest. Budzisz się rano i nie możesz sobie przypomnieć, co ci się śniło. Pozostaje tylko nieokreślone wspomnienie czegoś miłego...

Wiedziała. Och, doskonale wiedziała.

- To wspomnienie jest jak błędny ogień - ciągnął rozmarzonym tonem. - Jest na pozór blisko, ale gdy chcesz je pochwycić, ucieka. - Wyciągnął rękę i uniósł jej podbródek.

Nie miała innego wyboru, musiała spojrzeć na niego albo zamknąć oczy. Zamknęła oczy.

- Powiedziałem... że będę na ciebie czekać.

- Ja nie chciałam czekać - odparła i otworzyła oczy. Drzewo rzucało cień, słońce stało nisko i wszystko wokół było rozświetlone różowym światłem, dzięki któremu liście upodobiły się do kwiatów.

- Ja też nie - powiedział Robert. - Byłaś taka młoda. Gdybym i ja miał szesnaście lat, pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej...

Nie, to było zbyt okrutne. Kazał jej wspominać! Minęły miesiące, lata, nim zapomniała o bólu serca, nim nauczyła się udawać przed sobą, że to tylko kieliszek wina uderzył do dziewczęcej, nieprzywykłej do alkoholu głowy i sprawił, że mówiła rzeczy, o których w jasnym świetle dnia wołała zapomnieć. On zapomniał na prawdę. Ale jej się to nie udało... I teraz znów ból przenikał jej serce.

Robert spojrział na nią, a potem uśmiechnął się lekko.

- Pocałujesz mnie pod jemiolą, Daisy? Ostatni raz. Po raz ostatni!

To zabrzmiało jak nieodwołalny wyrok.

- Nim zetną drzewo - wyjaśnił szybko.

Nie mogła. Nie powinna. Ale nie umiała mu odmówić. Uznał jej milczenie za przyzwolenie.

Wszystko trwało nie dłużej niż chwilę. Jego usta przybliżyły się

kusząco blisko, ona zaś lekko przechyliła głowę na bok i czekała w takim samym napięciu jak tamta szesnastolatka.

Robert odsunął się trochę, kąciki ust uniósł w zakłopotanym uśmiechu. Spróbował znów, a potem znów, ale gdy jego wargi znalazły się tuż przy jej ustach, znieruchomiał. To było tak urocze, że zaczęła chichotać.

- Cicho... Całujemy się po raz ostatni pod tą jabłonią. - Objął ją w pasie i przytrzymał, aby stała spokojnie. - Śmiech jest zabroniony.

- Wcale nie. - Starła się zrobić poważną minę, ale przychodziło jej to z trudem. Pocałunków Roberta, niestety, nigdy nie będzie mogła traktować serio. Nigdy.

I nagle cała ochota na śmiech wyparowała. Jaki ojciec, taki syn... Nie, to nie było śmieszne. Robiła najgłupszą rzecz w życiu...

- Nie, Robercie, nie... - Ale protest przyszedł za późno. Starł te słowa z jej warg, wymazał lekkim jak piórko dotykiem - raz, dwa, trzy razy przywołując wspomnienie minionego pocałunku.

Potem odsunął się nagle i znów lekko drwiący uśmiech wykrzywił mu wargi.

- Teraz wszystko sobie przypominam.

- Robercie! - Bezskutecznie usiłowała się wyrwać, ale ciało nie było jej posłuszne.

Nagle, zza drzew wypadła Flossie, rozdokazywana i umazana

blotem. Skoczyła na Daisy i Roberta.

W zamieszaniu, które nastąpiło później w domu - podczas suszenia ubrań i picia herbaty - świat stopniowo wrócił do normalności.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sobota, ósmy kwietnia, bardzo wczesnie rano. Dzień ślubu Ginny i Mike'a. Robert wpadł przed chwilą i razem z Michałem wyprowadzili psy na spacer. Zwykle Robert rzucał w moje okno kamyczkami, by sprawdzić, czy z nim pójdę. Ale dziś rano tego nie zrobił. Może to miał być męski spacer? Zresztą i tak bym z nim nie poszła. Nie mam czasu na spacer. Po tym pocałunku w sadzie... Nie chcę... Nie będę... Nawet gdybym musiała wyjechać z kraju, by uniknąć pokusy. Trzeba przetrwać jakoś ten dzień. Robert na pewno zapomni, że zaprosił mnie na lunch i odkryje moją ucieczkę do Londynu, gdy już będzie za późno.

Kościół był wspaniale udekorowany. Drzwi wejściowe i bramę otaczały girlandy z żółtych i białych kwiatów, a każdą ławkę w ko-

ściele zdobiły kokardy i lśniące gałązki bluszczu. I Ginny wyglądała tak pięknie...

Daisy wiedziała, że płacz na ślubie był rzeczą jak najbardziej naturalną, ale w jej przypadku to było coś więcej niż zwykłe wzruszenie.

Gdyby przynajmniej Robert nie włożył tej idiotycznej, żółtej kamizelki! Zupełnie się tego nie spodziewała. Przygotowała się na wszystko, tylko nie na to. Zrobił to dla niej.

Wiedziała, że zrobił to dla niej i teraz oczekiwał, patrząc na nią z lekkim uśmiechem, że doceni jego wysiłek.

Próbowała. Naprawdę próbowała. Dokonywała nadzwyczajnych wysiłków, by uśmiechnąć się niefrasobliwie i przyjaźnie.

Ale nie potrafiła. Wiedziała, że łzy spłynęłyby po jej policzkach i zniszczyłyby wspaniały makijaż, zrobiony specjalnie na tę okazję przez wykwalifikowaną kosmetyczkę z Londynu.

Wbiła wzrok w uroczy, mały bukiet, który trzymała w ręce, i udawała, że nie dostrzega wymownego spojrzenia Roberta.

Japonia. Uchwyciła się tej myśli. Miała już spakowaną torbę i zarezerwowany bilet. Kochany George nie tylko pozwolił jej wyjechać, ale jeszcze skontaktował się z przyjaciółmi, u których będzie mogła się zatrzymać. A może chciał, żeby wyjechała? Powiedział przecież, że brak jej instynktu kupieckiego i powinna poświęcić się

pracy naukowej. Może miał rację...

W nocy z niedzieli na poniedziałek nie zmrużyła oka z powodu pocałunku Roberta. Rzucała się bezsennie z boku na bok i bez przerwy prześladowały ją słowa matki: „jaki ojciec, taki syn” oraz „biedna Jennifer”. Wyobrażała sobie, że za trzydzieści parę lat ludzie będą o niej mówić „biedna Daisy”. Kochała Roberta Furneala, a on był dokładnie taki sam, jak jego ojciec...

Gdy w poniedziałek rano zjawiła się w galerii, George zakomunikował, że wygrali dziesięć funtów na loterii, po pięć na głowę. Wygrana na loterii! To było zrządzenie losu i znak niebios. Dziadek zostawił jej w spadku trochę gotówki, która miała stanowić posag. Daisy uznała, że posag nie będzie jej potrzebny. Nadszedł czas, by zrealizować swoje marzenia.

Przez następną godzinę mętnie tłumaczyła szefowi motywy swej decyzji. George dał jej chusteczkę i cierpliwie wysłuchał potoku bezładnych słów. Słuchał o bólu, skrywanej namiętności, o miłości. Zaparzył zieloną herbatę w specjalnym czajniczku i, podczas gdy Daisy popijała ją drobnymi łykami, wykonał kilka ważnych telefonów do swoich przyjaciół. Potem odesłał ją do domu, by poczyniła stosowne przygotowania.

Nadszedł czas realizacji marzeń. Już jutro będzie w drodze do Tokio. Czeka ją nowe życie, w którym odkryje tajemnice i piękno

obcej kultury.

A Robert włożył tę żółtą kamizelkę i wprowadził zamęt w uporządkowane już zdawałoby się myśli.

Zły sen.

Poprzez łzy widziała, jak Michael całuje Ginny. Potem szła u boku Roberta za nowożeńcami do zakrystii, aby podpisać akt ślubu. Najpierw zrobił to Robert.

- Ręka bardzo mi się trzęsie - szepnęła, gdy podawał jej pióro.

Wyjął chusteczkę, podniósł brodę Daisy i delikatnie osuszył łzy, tak by nie rozmazać makijażu. Na jedną ulotną chwilkę przymknęła oczy i pozwoliła mu się pocieszać.

- Oddychaj głęboko - poradził.

Zrobiła, co jej kazał, potem wzięła od niego pióro. Patrzył na nią pełnymi sympatii, ciepłymi, współczującymi oczami. To było takie dziwne... I takie nierealne.

Gdy dopełniono wszystkich formalności, wziął ją za rękę i mocno ścisnął jej palce, gdy za parą młodych opuszczali zakrystię, a potem kościół.

Nieco zmieszana zerknęła na pozostałe drużyny. To nie tak miało być. Ale Robert naprawdę zapomniał o trzech olśniewających brunetkach, które im towarzyszyły.

Na przyjęciu drużyny próbowały, naprawdę próbowały, uży-

wając rozmaitych sztuczek, zwrócić na siebie uwagę Roberta, zwabić go do jakiegoś cichego zakątka, ale okazało się, że nawet wspaniały, wiktoriański ogród zimowy nie zdołał go przyciągnąć. Oczywiście, Robert zachowywał się uprzejmie i jak zwykle był duszą towarzystwa, ale taki sam był dla wszystkich kuzynek, ciotek i babć oraz innych gości na przyjęciu.

Po raz pierwszy w życiu nie flirtował. To wprowadziło Daisy w nieład zdenerwowanie.

Uroczyste mowy zostały wygłoszone, państwo młodzi poszli się przebrać, a Robert gdzieś zniknął. Daisy skorzystała z okazji i wysliznęła się na taras, by uciec na chwilę od gwaru i hałasu panującego w sali balowej. Jeszcze tylko kilka minut. Gdy Ginny i Mike wyjadą, ona również ucieknie.

- Do świętego Ducha nie zdejmuj kożucha. - Robert przeszedł przez taras, zdjął z siebie żakiet i zarzucił go Daisy na ramiona. - Założę się o wszystko, że nie masz niczego pod tą sukienką - zażartował.

- Dziękuję. - Odwróciła się, czując przy sobie ciepło jego ciała. - Tam jest trochę za głośno - usprawiedliwiała się.

- Jest o wiele za głośno - powiedział, opierając się o balustradę. - To wspaniały ślub. Jeśli lubi się tego typu imprezy.

- Muszę cię rozczarować, ale ja nie lubię. Pewnie zaraz powiesz, że nie jestem romantyczna...

- A jak sobie wyobrażasz własny ślub?

Odwróciła się i popatrzyła na niego przez chwilę, a potem znów odwróciła wzrok.

- Nie zamierzam wychodzić za mąż. Zamierzam zająć się pracą naukową w dziedzinie sztuki orientalnej i podróżować po świecie.

- Poczynając od Japonii.

Przez moment, przez ułamek chwili przemknęło jej przez myśl, że odkrył jej sekret. Ale nie pozostawił jej czasu na myślenie.

- Jeśli jednak zdecydujesz się wziąć ślub, kogo chciałabyś na nim widzieć? - spytał.

Mimo wszystko poczuła ulgę, że zmienił temat i zrobiła się gadatliwa.

- Och, myślę, że dwoje ludzi w jakimś cichym, spokojnym i pięknym miejscu wystarczą sobie za całe towarzystwo.

- A więc żadnych druhen? - Popatrzył na swoją kamizelkę. - I żadnego żółtego aksamitu?

- I ani jednego družby! - zapewniła go.

- Zgadza się z tobą w zupełności. Wyjdiesz za mnie?

Wybuchnęła śmiechem.

- Czy nie masz lepszych pomysłów, Robercie? Czy nie powinieneś teraz przywiązywać balonów albo starych butów do samocho-

du nowożeńców?

- To już zrobione.

- W takim razie, może zajmiesz się uwodzeniem druchen albo czymś podobnym.

Zerknął na nią wymownie.

- Zgłaszasz się na ochotnika?

- Robercie...

- Robert! Daisy! Ach, tu jesteście. - Sarah z rozwianymi od tańca włosami i głupim uśmiechem przyklejonym do ładnej buzi pojawiła się na tarasie. Gdy uważniej przyjrzała się siostrze i Robertowi, przystanęła w pół kroku. Zrozumiała, że przerwała jakąś bardzo ważną rozmowę. - Przepraszam... ale Ginny i Michael właśnie wyjeżdżają...

- Już idziemy. - Daisy oddała Robertowi zakiet i szybko wmieszała się w tłum gęstniejący na dole ozdobnej klatki schodowej. Ginny, stojąca z bukietem w ręku na górze schodów, na widok Daisy uśmiechnęła się i rzuciła bukiet ponad głowami zebranych gości.

Ktoś stojący za nią chwycił bukiet. Rozległ się głośny szmer.

To był Robert. Stał za Daisy i złapał kwiaty, które Ginny rzuciła w tę stronę.

Była to okazja do ciętego dowcipu, jakiejś ostrej, znaczącej uwagi, która wszystkich by rozśmieszyła. Ale Daisy całkiem zabra-

kło konceptu i gdy Robert z lekkim ukłonem przekazał jej bukiet, potrafiła jedynie go przyjąć przy wtórze chóralnych „achów” i „ochów”, rozlegających się wśród zgromadzonych gości.

Trwało to zaledwie kilka sekund, ale jej wydawało się, że minęła wieczność, nim wszyscy wyszli za Michaeliem i Ginny przed dom, by wśród błysków fleszy pomachać nowożeńcom na pożegnanie.

- Nie rozumiem. Co się stało? - Jakby samo latanie nie było już dość stresujące, pomyślała z irytacją. - Rezerwacja została przecież potwierdzona w ubiegłym tygodniu.

Pracownica biura podróży obdarzyła Daisy profesjonalnym, w zamyśle uspokajającym uśmiechem.

- Wczoraj próbowaliśmy się z panią skontaktować, niestety, bezskutecznie - powiedziała. - Ale właściwie nie ma wielkiego problemu. Znaleźliśmy dla pani miejsce w innym samolocie odlatującym za pół godziny.

Był to jednak lot z przesiadką w Delhi i jednodniową przerwą w podróży. Daisy nie była z tego powodu szczęśliwa. Specjalnie zarezerwowała lot bezpośredni, by przeżywać jak najmniej startów i lądowań...

- Przeniesiemy panią do pierwszej klasy - ciągnęła gładko kobieta - i będzie pani mogła uczestniczyć w dodatkowej wycieczce...

Nie było sensu się złościć. To nie była wina tej kobiety, że nastąpiło przekłamanie w komputerze. Zadzwoiła do matki, by powiadomić ją o zmianie planów.

- Przekaż wiadomość George'owi, dobrze? Niech zawiadomi swoich przyjaciół w Tokio, by nie wychodzili na ten samolot.

- Oczywiście, kochanie. Przyślij mi kartkę z Tadź Mahal!

- Skąd...?

- I życzę ci szczęścia, kochanie.

Nim zdążyła o cokolwiek zapytać, matka odłożyła słuchawkę. Pożegnała się z nią niezwykle czule... Daisy złożyła dziwne zachowanie matki na karb wzruszeń ślubnych i wypitego szampana.

Ale Tadź Mahal?

Nie przypuszczała, że jej matka tak dobrze znała Indie. Zaraz, skąd w ogóle wiedziała o przesiadce w Delhi? Przecież plany podróży uległy zmianie dosłownie w ostatniej chwili... Och, zapewne tak się mówi do każdego, kto po raz pierwszy odwiedza Indie. Przyślij mi pocztówkę z Tadź Mahal...

Rozchmurzyła się nieco. Jeśli rzeczywiście oferowano jej dodatkową wycieczkę na pewno z niej skorzysta. Usiadła na swoim miejscu w pierwszej klasie i wyjęła książkę. Bardzo nie lubiła tych chwil przed startem, kołowania na pas startowy, ryku silników...

- Proszę ustawić fotele w wyprostowanej pozycji i zapiąć

pasy.

Wiedziała, że to głupie. Znała przecież statystyki. Więcej ludzi zabijało się, wypadając z łóżka... Mimo wszystko mocno chwyciła się fotela i zamknęła oczy.

Ktoś zajął miejsce obok niej. Usłyszała trzask zapinanego pasa. Wiedziała, że wygląda jak idiotka, ale nic nie mogło zmusić jej do otwarcia oczu, zanim samolot bezpiecznie nie wzbije się w powietrze.

Nic - prócz chłodnej ręki, która nagle przykryła jej dłoń. I głosu Roberta.

- A więc to prawda.

Niedowierzenie było silniejsze niż strach. Odwróciła głowę i otworzyła oczy.

- Robert? - Choć widziała go, trzymał ją za rękę, nadal nie mogła uwierzyć.

- Myślałem, że wolisz popłynąć statkiem.

- Nie mogłam sobie na to pozwolić.

- Słyszałem, że wygrałaś na loterii.

- Dziesięć funtów. A właściwie pięć, ponieważ podzieliliśmy się z Geoige' em... - Urwała. To w ogóle nie było ważne. - Co tutaj robisz?

- Trzymam cię za rękę. I lecę do Indii, by tam pracować w ban-

ku. Proszę cię, byś za mnie wyszła. Niekoniecznie w takiej kolejności. Mam jeszcze tydzień do rozpoczęcia nowej pracy.

Samolot ruszył, ale Daisy nawet tego nie zauważyła. Tak bardzo chciała, by to, co powiedział Robert, było prawdą, że na chwilę głos jej odebrało.

- Jedziesz do Indii? - wykrztusiła po chwili milczenia. - Co za zbieg okoliczności...

- Nazywanie tego zbiegiem okoliczności byłoby lekką przesadą. Wyjdiesz za mnie, Daisy?

To nie mogła być prawda!

- Lecę do Japonii.

- Indie są po drodze.

- Tylko wtedy, gdy leci się z przesiadką. Jak długo tam zostaniesz?

- Jak długo będzie trzeba. Znowu mi uciekasz, Daisy. Znowu ukrywasz się przede mną. - Samolot zakreślił na pasie startowym. - Obydwoje uciekaliśmy od siebie, ale czas już przestać. Wyjdiesz za mnie?

Ryk silników był coraz potężniejszy.

- Nie należysz do mężczyzn, którzy się żenią, Robertcie.

- Nasłuchiłaś się plotek. Ale ja też.

- Rozumiem, o co ci chodzi. Myślisz sobie: „Do diabła, to jest

Daisy. Teraz, gdy już zobaczyłem jej nogi, chciałbym dodać ją do swojej kolekcji. Ale nie mogę uciąć sobie z nią małego romansu, ponieważ...”

- Ponieważ Mike nigdy, by się do mnie odezwał, a twoja matka, niech Bóg broni, zaatakowałaby mnie wałkiem do ciasta. Czy to właśnie masz na myśli? - Gdy milczała, dodał: - Wiem, o co ci chodzi. To fakt, że zrozumienie problemu zajęło mi trochę czasu i potrzebowałem nawet pewnej pomocy.

- Pomocy? Czyjej pomocy? - Czego jeszcze miała się dowiedzieć?

- Mike udzielił mi pewnych wskazówek. Powiedział, że jesteś w kimś zakochana. Od zawsze. Strawiłem całe dnie, usiłując dociec, przez kogo tak cierpisz... Zamierzałem się z nim porachować.

- Och.

- Jakie jest hasło do twojego komputera? - Ta rozmowa była surrealistyczna.

- Królik.

- Królik? - Z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - Niczego nie rozumiała.

- Teraz już nie. - Mocniej ścisnął jej rękę. - Czy wspomniałem ci, że Monty wiedział? Podkreślił, że jesteś jedyną dziewczyną, którą nigdy się nie znudziłem i do której zawsze wracałem.

- Monty tak powiedział?!

- Też bytem zaskoczony. Ale to jego specjalność, moja droga. Żyje z obserwowania natury ludzkiej. W dodatku matka powiedziała mi, że musiałaś widzieć, jak całowałem Lorraine Summers, ponieważ od tamtej pory zaczęłaś mnie unikać. Ale, cóż, byłaś o wiele za młoda na poważny związek, Daisy. A ja o wiele za młody, by czekać. Teraz proszę, wyjdź za mnie.

Coraz trudniej przychodziło jej ignorować to pytanie. Ale próbowała nadal.

- Czy twoja matka o tym wie? O tym, że tu jesteś?

- Wszyscy wiedzą. Daj spokój, Daisy. Wiem, że chcesz...

- Przestań! - Przyłożyła wolną rękę do czoła. - Przestań! - Zaczęło trząść samolotem. - Muszę pomyśleć.

- Ponieważ znów uciekasz. Ale tym razem ci nie pozwolę. - Wziął ją za drugą rękę. - Zawsze wydobywałaś ze mnie to, co najlepsze, Daisy. Nigdy cię nie okłamałem. I teraz też nie kłamię. Kocham cię. Zawsze cię kochałem. Jeśli każesz mi to udowodnić, to będę czekać. Myślę jednak, że obydwójce czekaliśmy już wystarczająco długo.

Puścił jej rękę i ujął twarz w obie dłonie. Nie mogła teraz uniknąć jego wzroku - tych oczu, które obiecywały wieczną miłość.

- Proszę cię, powiedz, czy wyjdiesz za mnie?

Pędzili po pasie startowym, a serce waliło jej w rytm potężnych silników. Ryzyko. Życie było ryzykowne. Ale знаła Roberta. Nigdy nie kłamał, nigdy nie oszukiwał. Był podobny do ojca, ale także do Jennifer. Serce, które raz komuś odda, nigdy nie będzie należało do kogoś innego. A prawda była tak jasna jak światło słoneczne ponad chmurami.

- Napiją się państwo szampana?

Popatrzył na nią.

- Masz ochotę na szampana, Daisy?

Jeden długi, drżący oddech i była stracona.

- Tak, proszę. - Gdy podał jej kieliszek, spytała: - Poczekaj, jednego nie rozumiem. Skąd wiedziałeś, że polecę tym samolotem? Miałam lecieć bezpośrednio do Tokio.

Robert stuknął kieliszkiem o jej kieliszek.

- Na szczęście zawsze można obwinić komputery. I agentkę z biura podróży, która ma romantyczną duszę.

- A więc ty to wszystko uknułeś?

- Z małą pomocą przyjaciół. Gdy George wszystko dla ciebie ułatwił, opadły go wątpliwości, czy postąpił właściwie, zadzwonił więc do mojej matki po radę. A ponieważ ona znała moje uczucia, zadzwoniła do mnie.

- Ale ktoś mnie oczekuje w Tokio...

- Przyjaciele George'a zostali powiadomieni, że możesz się spóźnić - powiedział delikatnie. - Wybór należy do ciebie. Wyjdź za mnie. Pojedziesz do Japonii w przyszłym tygodniu, a ja dołączę do ciebie, gdy tylko będę mógł. Albo zostań ze mną i pojedziemy tam razem. Wezmę roczny urlop i poświęcę go na studiowanie życia codziennego Japończyków. A ty będziesz robić, co zechcesz.

- Wszystko dokładnie zaplanowałeś, prawda?

- W końcu jestem finansistą. Opracowywanie planów to moja specjalność. Ale muszę ci wyznać, że miałem ciężki tydzień.

- Dlaczego więc nie powiedziałeś mi tego wszystkiego, zanim wyjechałam?

- Zbyt wiele się działo. Zbyt wiele spraw odwracało uwagę. - Uniósł jej dłoń i pocałował. - Pomyślałem, że na to, aby cię przekonać, będę potrzebować każdej minuty z tych dziewięciu godzin bez zabłoconych psów i sióstr w nieodpowiednich momentach przerywających rozmowę, dziewięciu godzin, gdy jesteś bezpiecznie przypięta pasem do siedzenia i nie masz możliwości ucieczki.

- Trafiłeś na moją chwilę słabości. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ale było to wspaniałe lekarstwo na strach przed lataniem. - Chwyliła jego dłoń i dotknęła nią swego policzka. - Chyba zostanę z tobą, Robercie, jeśli zawsze będziesz trzymać mnie za rękę podczas startów.

Daisy miała na sobie czerwono-złote ślubne sari, a Robert kremowy, tropikalny garnitur. Wszystkie sprawy urzędowe zostały pomyślnie załatwione i teraz siedzieli objęci, patrząc na najpiękniejszy na świecie pomnik miłości i jego lustrzane odbicie w spokojnej wodzie. Trzymali się za ręce i myśleli o przyszłości.

A potem, gdy ogromny błądy księżyc pojawił się na czarnym nieboskłonie, Robert zwrócił się do Daisy:

- Kocham cię. Zawsze będę cię kochać.

A Daisy odpowiedziała:

- Ja też cię kocham. Zawsze cię kochałam.

Dotknął misternie wykonanego, złotego pierścionka, który miała na palcu, a następnie uniósł jej dłoń do ust.

- Czekanie, moja ukochana, dobiegło końca. - A potem wziął ją w ramiona i pocałował.